


Hit francuskiego internetu podbił serca czytelników na całym świecie.

Szczęśliwi ludzie

CZYTAJĄ KSIĄŻKI
I PIJĄ KAWĘ

*Agnès
Martin-Lugand*

 WIELKA LITERA

Rozdział 1

- Mamusiu, proszę!
- Klara, nie zgadzam się.
- Daj spokój, Diane. Pozwól jej jechać ze mną.
- Colin, nie rób ze mnie idiotki. Jeśli ją zabierzesz, to razem gdzieś przepadniecie i wyjedziemy na wakacje z trzydniowym opóźnieniem.
- Wobec tego jedź z nami. Przypilnujesz nas!
- Nie ma mowy! Widziałeś, ile zostało do zrobienia.
- I właśnie dlatego powinnaś puścić Klarę. Będziesz miała spokój.
- Mamusiu, zgódź się.
- No dobrze. Niech wam będzie. Już was tu nie ma.

Klara i Colin zbiegli w podskokach po schodach.

Dowiedziałam się później, że wciąż wygłupiali się w samochodzie, kiedy uderzyła w nich ciężarówka. Chciałam wierzyć, że zginęli śmiejąc się. Nie mogłam sobie wybaczyć, że nie byłam wtedy z nimi.

Od tamtego czasu minął rok. Codziennie pragnęłam śmierci, jednak ku mojej rozpaczycie moje serce uparcie biło, utrzymując mnie przy życiu.

Leżałam na kanapie i paliłam papierosa. Puszczając kółka z dymu, kiedy otworzyły się drzwi i do mieszkania wszedł Feliks. Nie czekał na moje zaproszenie, prawie codziennie wpadał bez zapowiedzi. Co mnie podkusiło, żeby mu dać zapasowy komplet kluczy?

Na jego widok podskoczyłam z wrażenia i popiół spadł mi na piżamę. Zdmuchnęłam go z siebie, i żeby nie patrzeć, jak Feliks zaczął krzątać się po salonie, uciekłam do kuchni zafundować sobie kolejną dawkę kofeiny.

Po powrocie do pokoju zauważyłam, że bałagan nie zniknął. Na stoliku piętrzyły się popielniczki z niedopałkami, brudne filiżanki po kawie, kartony po żarciu oraz butelki. Feliks siedział ze skrzyżowanymi nogami i przyglądał mi się z uwagą. Jego poważna mina na sekundę zbiła mnie z tropu, chociaż jeszcze bardziej zdziwił mnie jego strój. Dlaczego włożył garnitur? Gdzie się podziały jego nieśmiertelne dziurawe dżinsy i obcisły podkoszulek?

- Ale się wystroiłeś! Idziesz na ślub czy na pogrzeb?
- Która godzina?
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co mnie obchodzi, która jest godzina? Ubrałeś się odświętnie, żeby poderwać nowego kochasia?
- Niestety nie. Już po drugiej. Umyj się i ubierz. Nie możesz iść w takim stanie.
- A dokąd mam niby iść?
- Pospiesz się. Twoi rodzice i rodzice Colina będą na nas czekać. Za godzinę musimy być na miejscu.

Przeszył mnie dreszcz i zaczęły trząść mi się ręce. Poczułam żółć w gardle.

- Nie ma mowy, żebym poszła na cmentarz, rozumiesz?

– Zrób to dla Klary i Colina – odparł łagodnie Feliks. – Oddaj im hołd. Właśnie dziś powinnaś pójść, w rocznicę ich śmierci. Będziemy cię wspierać.

– Gwiżdżę na was. Nie wezmę udziału w tej idiotycznej ceremonii. Czy naprawdę myślisz, że zamierzam czcić ich śmierć?

Drżał mi głos i rozplakałam się po raz pierwszy tego dnia. Jak przez mgłę zobaczyłam, że Feliks wstaje. Objął mnie i mocno przytulił.

– Diane, błagam, zrób to dla nich.

Odepchnęłam go ze złością.

– Powtarzam ci, że nigdzie nie pójde, ograniczony tępaku. Wynoś się! – krzyknęłam, widząc, że znów chce mnie objąć.

Pobiegłam do sypialni. Drżącymi rękoma przekręciłam w zamku kluczyk i usiadłam na podłodze przy drzwiach, przyciskając kolana do piersi. W mieszkaniu zapanała cisza, przerywana tylko głośnymi westchnieniami Feliksa.

– Wpadnę wieczorem.

– Nie chcę cię widzieć.

– Przynajmniej się wykup, bo jak nie, to cię siłą wepchnę pod prysznic.

Po chwili usłyszałam jego oddalające się kroki, a trzaśnięcie drzwi potwierdziło, że wreszcie sobie poszedł.

Przez dłuższą chwilę siedziałam skulona, opierając głowę na kolanach, ale gdy mój wzrok padł na łóżko, z trudem się do niego doczołgałam, wdrapałam się i otuliłam kołdrą. Jak zawsze, gdy się tam chroniłam, szukałam zapachu Colina. Właściwie całkiem się już ulotnił, ale nie zmieniłam pościeli. Tak bardzo pragnęłam czuć go nadal i zapomnieć o zapachu szpitala, i o śmierci, która wniknęła w skórę Colina, kiedy po raz ostatni wtuliłam się w jego szyję.

Marzyłam tylko, żeby zasnąć. Sen pomagał mi zapomnieć.

Rok temu, kiedy dotarliśmy z Feliksem na ostry dyżur, lekarze poinformowali mnie, że przyjechałam za późno. Moja córka zmarła w karetce. Lekarze dali mi czas, żebym zwymiotowała, zanim dodali, że Colin ma przed sobą kilka minut, a w najlepszym razie kilka godzin życia. Jeśli chcę go pożegnać, to nie mam chwili do stracenia. Chciałam krzyknąć, oskarżyć ich o kłamstwo, ale głos uwiązł mi w gardle. Znalazłam się w samym środku koszmaru i z całych sił chciałam wierzyć, że zaraz się obudzę. Jednak pielęgniarka zaprowadziła nas na oddział, na którym leżał Colin. Każde słowo, każdy gest od momentu wejścia do szpitalnej sali na zawsze wryły mi się w pamięć. Colin, podłączony do tysiąca szumiących i migoczących maszyn, leżał nieruchomo jak kłoda, a jego twarz była pokryta siniakami i wybroczynami. Zamarłam i wpatrywałam się w niego oniemiała. Feliks podtrzymał mnie, abym nie upadła. Nagle Colin powoli odwrócił głowę w moją stronę. Kiedy nasze oczy się spotkały, znalazł w sobie resztkę siły, żeby się uśmiechnąć. Dopiero wtedy odważyłam się do niego podejść. Wzięłam go za rękę, a on lekko oddał uścisk.

– Musisz iść do Klary – wykrztusił z trudem.

– Colinie, Klara...

– Jest na sali operacyjnej – przerwał mi Feliks.

Spojrzałam na przyjaciela. Uśmiechał się do Colina, unikając mojego wzroku. Jego słowa huczały mi w uszach, oczy zaszyły mgłą, drżałam każdą cząsteczką ciała. Poczułam jak Colin jeszcze mocniej ściska mnie za rękę. Widziałam, jak chłonie słowa Feliksa, który mówił mu o Klarze, pocieszając go, że córka przeżyje wypadek. Kłamstwo Feliksa brutalnie wyrwało mnie z odętwienia. Łamiącym się głosem Colin powiedział, że nie zauważył ciężarówki, bo śpiewał razem z Klarą. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Pochyliłam się nad nim i pogłaskałam go po głowie i twarzy. Colin ponownie się do mnie odwrócił. Przez łzy widziałam jego twarz coraz mniej wyraźnie, jakby już zaczął znikać. Zakrztusiłam się. Mój mąż podniósł dłoń i pogłaskał mnie po policzku.

– Cicho, kochanie – szepnął. – Uspokój się. Słyszałaś, co mówił Feliks. Klara będzie cię potrzebować.

Nie mogłam znieść jego pełnego nadziei wzroku, że nasza córeczka zostanie od-ratowana.

– A co z tobą? – wyszeptałam.

– Najważniejsza jest Klara – odparł Colin, ocierając łzę z mojego policzka.

Zaszłochałam i przytuliłam twarz do jego wciąż ciepłej dłoni. Był ze mną. Nadal był. Rozpaczliwie uchwyciłam się słowa „nadal”.

– Colinie, nie mogę cię stracić – szepnęłam.

– Nie będziesz sama, masz Klarę. Feliks się wami zaopiekuje.

Potrząsnęłam głową, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze, musisz być dzielna dla naszej córki...

Kiedy jego głos zamarł, przeraziłam się i uniosłam głowę. Colin był tak bardzo zmęczony. Zużył ostatnie siły dla mnie, jak zawsze. Przywarłam do niego, żeby go ucałować, a on oddał mi resztkę życia, która w nim pozostała. Położyłam się obok, pomogłam mu oprzeć o mnie głowę. Dopóki będę go tulić w ramionach, nie opuści mnie. Colin szepnął po raz ostatni, że mnie kocha, i ja wyznałam mu miłość. Wtedy zasnął na wieki. Przez kilka godzin leżałam, tuląc go w ramionach. Kołysałam go, całowałam, wdychałam jego zapach. Kiedy rodzice próbowali mnie od niego ode-rwać, nakrzyczałam na nich. Rodzice Colina chcieli pożegnać syna, ale nie pozwoliłam im go dotknąć. Był mój. W końcu ustąpiłam dzięki cierpliwości Feliksa, który długo mnie uspokajał i pocieszał, zanim mi przypomniał, że muszę pożegnać córkę. Od zawsze tylko Klara mogła oderwać mnie od Colina. Śmierć niczego nie zmieni-ła. Rozluźniłam palce dłoni i puściłam jego ciało. Po raz ostatni pocałowałam go w usta i wyszłam z sali.

Jakby przez mgłę, poszłam do Klary. Oprzytomniałam dopiero przed drzwiami jej pokoju.

– Nie – oświadczyłam Feliksowi. – Nie dam rady.

– Diane, musisz się z nią pożegnać.

Wbiłam wzrok w drzwi, zrobiłam kilka kroków do tyłu i rzuciłam się pędem korytarzami szpitala. Nie zamierzałam oglądać mojej córki martwej. Pragnęłam zapamiętać jej uśmiech, burzę złotych loków okalających jej twarzyczkę, oczy, w których każdego ranka tańczyły figlarne chochliki, oraz jej pożegnanie, zanim na zawsze wybiegła z tatą.

Dzisiaj, jak przez cały ubiegły rok, w mieszkaniu panowała głucha cisza. Zamarła muzyka, śmiech i niekończące się rozmowy.

Powlokłam się do pokoju Klary. Był cały różowy. Kiedy się dowiedziałam, że urodzi nam się córka, oznajmiłam, że urządzimy jej pokój na różowo. Colin na różne sposoby próbował odwieść mnie od tego pomysłu, ale przegrał z kretesem.

Niczego tutaj nie ruszyłam. Kołdra Klary nadal była zwinięta w kłębek, zabawki rozrzucone po kątach, jej koszulka nocna leżała na podłodze. W walizce na kółkach czekały lalki, które Klara spakowała na wakacje. Zniknęły tylko dwa pluszowe misie. Jednego Klara zabrała ze sobą w swoją ostatnią podróż, drugi spał ze mną.

Delikatnie zamknęłam drzwi i poszłam do garderoby Colina, z której wyjęłam jego koszulę.

Właśnie zamykałam drzwi od łazienki, żeby wziąć prysznic, kiedy usłyszałam kroki wracającego Feliksa. Na lustrze w łazience zawiesiłam wielkie prześcieradło. Szuflady świeciły pustkami, z wyjątkiem jednej, w której ustawiłam buteleczki perfum Colina. Wyrzuciłam wszystkie przybory do makijażu, kremy oraz biżuterię.

Nie zwracałam uwagi na chłód posadzki. Po moim ciele spływały strugi wody, ale kąpiel nie dawała mi ukojenia ani ulgi. Nalałam na dłoń truskawkowy szampon Klary. Kiedy poczułam jego landrynkowy zapach, rozplakałam się. Dawał mi jakąś dziwną, makabryczną pociechę. Zaczęłam swój codzienny rytuał. Skropiłam się perfumami Colina, które stanowiły moją pierwszą warstwę ochronną. Pozapinałam guziki od koszuli – to druga warstwa. Włożyłam bluzę Colina z kapturem – trzecia. Związałam wilgotne włosy, żeby dłużej pachniały truskawkami – czwarta warstwa.

Wróciłam do salonu, z którego wreszcie zniknęły śmieci. Okna były otwarte na oścież, a z kuchni dochodziły odgłosy krzątania. Przed spotkaniem z Feliksem pozamykałam i pozasłaniałam okna. Półmrok stał się teraz moim najlepszym przyjacielem.

Feliks grzebał w zamrażalniku. Stałam w progu i patrzyłam na niego. Znowu był ubrany jak zwykle. Gwizdał i poruszał w takt biodrami.

– Może mi powiesz, co cię wprawiło w taki dobry nastrój?

– Wczorajsza noc. Pozwól, że zrobię nam kolację, i wszystko ci opowiem.

Odwrócił się i otaksował mnie wzrokiem, po czym zbliżył się i kilkakrotnie głęboko wciągnął przez nos powietrze.

– Obwąchujesz mnie jak pies – burknęłam.

– Najwyższy czas, żebyś przestała się tak zachowywać.

– Nie rozumiem, czemu narzekasz. Przecież się wykapałam.

– Rzeczywiście, wielka mi rzecz.

Dał mi całusa w policzek i znowu zaczął kręcić się po kuchni.

– Kiedy nauczyłeś się gotować?

– Wcale się nie nauczyłem, używam mikrofalówki. Przede wszystkim muszę znaleźć coś do zjedzenia. W twojej lodówce panują większe pustki niż na pustyni Gobi.

– Jeśli jesteś głodny, to zamów pizzę. Nie masz pojęcia o gotowaniu. Nie poradzisz sobie nawet z mrożonką.

– Dlatego przez dziesięć lat stołowałem się u was. Pizza to świetny pomysł. Teraz będę ci mógł poświęcić więcej czasu.

Opadłam na kanapę. Feliks zaszczyci mnie relacją o upojnej nocy. Błyskawicznie pojawił się przede mną kieliszek czerwonego wina, a on usiadł naprzeciwko mnie i podał mi paczkę papierosów. Natychmiast zapaliłam jednego.

– Rodzice przesyłają ci ucałowania.

– Ich sprawa – skwitowałam jego słowa, wydmuchując mu dym prosto w twarz.

– Martwią się o ciebie.

– Nie mają powodu.

– Chcieliby cię odwiedzić.

– Nie chcę ich widzieć. Masz cholerne szczęście, jesteś jedynym człowiekiem, którego towarzystwo jeszcze toleruję.

– Bo jestem niezastąpiony, nie możesz się beze mnie obejść.

– Feliks!

– Już dobrze. Skoro nalegasz, opowiem ci w szczegółach o wczorajszym wieczorze.

– Och, nie! Zniosę wszystko z wyjątkiem detali z twojego intymnego życia.

– Zdecyduj się. Albo opowiem ci o moich podbojach, albo o rodzicach.

– Skoro tak, to dawaj. Słucham.

Feliks nie poskapił mi pikantnych szczegółów. Dla niego życie było jedną wielką imprezą, przyprawioną nieokiełznaną seksualnością i zażywaniem przeróżnych substancji. Tak go pochłonęła jego własna opowieść, że nie czekał na moją reakcję, tylko paplał jak najęty. Nie przerwał nawet wtedy, kiedy zadzwieczał dzwonek.

Dostawca pizzy również usłyszał, w jaki sposób Feliks znalazł się w łóżku dwudziestoletniego studenta.

– Gdybyś widziała jego minę, małego biednego kochaneczka, dzisiaj rano, prawie mnie błagał, żebym przyszedł znowu się nim zająć. Wzruszył mnie do łez – dodał, udając, że ociera łzę.

– Zachowałeś się poniżej krytyki.

– Uprzedzałem go, ale sama wiesz, że jak już ktoś posmakuje Feliksa, to staje się uzależniony.

Ledwie skosztowałam dwa lub trzy kęsy, a Feliks stał się dziwnie podenerwowany i wcale nie szykował się do wyjścia. W pewnej chwili zamilkł, zebrał naczynia i resztki jedzenia i przepadł w kuchni.

– Diane, nawet nie spytałaś, co się działo na cmentarzu.

– Nie interesuje mnie to.

– Nie wierzę. Jak możesz być aż tak obojętna?

– Zamknij się. Jak śmiesz tak do mnie mówić? – krzyknęłam, zrywając się na równe nogi.

– Do cholery! Spójrz na siebie. Jesteś wrakiem człowieka. Nie robisz nic całymi dniami. Przestałaś pracować. Twoje życie ogranicza się do palenia, picia i spania. Zrobiłaś z mieszkania sanktuarium. Nie mogę patrzeć, jak każdego dnia coraz bardziej się w sobie zapadasz.

– Nikt nie potrafi tego zrozumieć.

– Nieprawda. Wszyscy wiedzą, przez co przechodzisz. Ale to nie powód, żeby zgasnąć i umrzeć. Colin i Klara odeszli rok temu, a ty musisz wrócić do świata żywych. Musisz podjąć walkę. Zrób to dla nich.

– Po pierwsze, nie wiem, jak to zrobić, a po drugie, wcale nie mam na to ochoty.

– Pozwól sobie pomóc.

Nie mogłam go dłużej słuchać. Zatkanam uszy i zamknęłam oczy. Feliks objął mnie i zmusił, żebym usiadła. Kolejny raz musiałam znosić jego czułości, niemal miażdżona w jego ramionach.

– Wybierzemy się na miasto? – spytał.

– Ty nic nie rozumiesz – odparłam, mimowolnie się do niego przytulając.

– Wyjdź wreszcie z domu, bądź znowu wśród ludzi. Nie możesz dłużej żyć jak pustelnik. Przyjdź jutro do Les Gens.

– Mam gdzieś Les Gens!

– W takim razie pojedźmy razem na wakacje. We dwoje. Zamknę kawiarnię. Klienci obejdą się bez nas... a przynajmniej beze mnie przez parę tygodni.

– Nie chcę nigdzie jechać.

– Jestem pewien, że jest dokładnie na odwrót. Zabawimy się. Będę się przez cały czas tobą opiekował. To ci pomoże dojść do siebie.

Na szczęście Feliks nie dostrzegł, że moje oczy zrobiły się wielkie i okrągłe jak spodki na myśl, że miałabym go przez cały czas na karku.

– Daj mi się zastanowić – odparłam pojednawczo, z nadzieją, że się odczepi.

– Obiecujesz?

– Tak. Chcę się położyć, idź już.

Feliks cmoknął mnie w policzek i wyjął z kieszeni telefon. Po przewertowaniu imponującego zbioru kontaktów, zadzwonił do Stevena, Freda, i na deser do Alexa. Podekscytowany perspektywą spędzenia rozpustnego wieczoru, dał mi wreszcie spokój. Wstałam i zapaliłam papierosa, podeszłam do drzwi, a on pożegnał się z rozmówcą, pocałował mnie raz jeszcze i szepnął na ucho:

– Do jutra, ale nie licz na to, że zobaczymy się wczesnym rankiem, dziś wieczorem będzie sporo się działo.

W odpowiedzi wzniosłam oczy do nieba. I co z tego, że Feliks nie otworzy Les

Gens punktualnie? Nie dbałam o to. To w poprzednim życiu prowadziłam kawiarnię literacką.

Kiedy wyszedł, poczułam się wyczerpana i znużona. Kochałam go nad życie, ale coraz gorzej znosiłam jego towarzystwo.

Leżąc w łóżku, dumiałam nad propozycją Feliksa. Wyglądał na zdecydowanego, aby przywrócić mnie do świata żywych. Musiałam za wszelką cenę znaleźć sposób, żeby mu się wywinąć. Kiedy się uprze, nic nie jest w stanie go powstrzymać. W przeciwieństwie do mnie pragnął, abym poczuła się lepiej. Muszę coś wymyślić.

Rozdział 2

Niedługo minie tydzień, od kiedy Feliks przystąpił do realizacji projektu „Wyciągamy Diane z depresji” i zaczął mnie zarzucać mniej lub bardziej absurdalnymi propozycjami. Osiągnął szczyt, rozkładając na stoliku foldery i broszurki biur podróży. Od początku wiedziałam, do czego zmierza: wakacje w tropikach, i wszystko, co się z tym wiązało. Hordy turystów, leżaki, koktajle z podrabianego rumu, opalone, lśniące od oliwki ciała, gimnastyka w wodzie, podczas której można napawać wzrok ciałem instruktora. Spełnienie marzeń Feliksa, koszmar dla mnie. Urlopowicze ściśnięci jak sardynki w puszcze na mikroskopijnej plaży, patrzący na siebie spode łba w galowych strojach podczas kolacji ze szwedzkim bufetem, przerażeni na myśl, że sąsiad sprzątnie im przed nosa ostatnią kiełbasę, szczęśliwcy, którzy spędzili kilkanaście godzin w blaszanej puszcze w towarzystwie wrzeszczących bachorów. Na samą myśl o tym wszystkim robiło mi się niedobrze.

Wciąż byłam w matni nie wiedząc, co zrobić. Palłam papierosa za papierosem, aż drapało mnie w gardle. Nawet sen nie przynosił ukojenia. Śnił mi się Feliks w kąpielówkach. Kazał mi tańczyć salsę w dyskotecie i nie odpuszczał, dopóki się nie zgodziłam. Musiałam się jakoś wykręcić, odeprzeć jego argumenty, uspić czujność i pozbyć się go. Wyjazd na dłużej z Paryża wydawał się jedynym sensownym rozwiązaniem. Muszę znaleźć jakiś odległy, daleki od cywilizacji zakątek, dokąd za mną nie pojedzie.

Wypad do świata żywych stał się nieunikniony. Szafki i lodówka rozpaczliwie świeciły pustkami. Znalazłam jedynie przeterminowane ciasteczka – ulubiony przysmak Klary, i piwo Colina. Obracałam butelkę w ręce, zanim ją otworzyłam, a potem powąchałam, jakbym wdychała aromat najlepszego rocznika. Wypiłam łyk i natychmiast zalała mnie fala wspomnień.

Nasz pierwszy pocałunek miał smak piwa. Ile razy śmialiśmy się z tego? Kiedy mieliśmy po dwadzieścia lat, nie bawiliśmy się w romantyzm. Colin pijał wyłącznie ciemne piwo, nie przepadał za jasnym i za blondynkami, i zawsze zadawał sobie pytanie, z jakiego powodu wybrał właśnie mnie.

Temat piwa pojawił się również, kiedy zastanawialiśmy się, dokąd pojechać na wakacje. Colin chciał spędzić kilka dni w Irlandii. Później próbował mnie oszukać, że zrezygnował z tego pomysłu z uwagi na deszcz, wicher i chłód. Ale tak napraw-

dę na tyle dobrze znał moje upodobanie do słońca i opalania, że nie chciał zmuszać mnie do noszenia w lecie kurtki przeciwdeszczowej i polaru oraz wyjazdu do miejsca, które by mi się nie spodobało.

Butelka wypadła mi z ręki i rozbiła się o posadzkę.

Usiadłam przy biurku Colina, otworzyłam atlas i uważnie przyjrzałam się mapie Irlandii. Jak wybrać swój własny grób pod niebem? Jakie miejsce przyniesie mi spokój oraz ciszę, których potrzebuję, żeby połączyć się z Colinem i Klarą? Nic nie wiedziałam o Irlandii i niezdolna do podjęcia decyzji, zamknęłam oczy i zdałam się na ślepy los.

Otworzyłam powiekę i zbliżywszy twarz do mapy odczytałam ukrywającą się pod palcem nazwę. Przeznaczenie zdecydowało, że pojedę do maleńkiej wioski. Z trudem odczytałam na mapie literki: Mulranny. Jechałam na wygnanie do Mulranny.

Nadeszła chwila, żeby powiadomić Feliksa o moim wyjeździe do Irlandii. Potrzebowałam trzech dni, żeby zebrać się na odwagę. Właśnie zjedliśmy kolację. Feliks zmusił mnie, abym przełknęła kilka kęsów, a ja chciałam go uszczęśliwić. Siedział rozwalony na fotelu i przeglądał broszurki.

– Feliksie, odpuść sobie oglądanie folderów.

– Zdecydowałaś się na coś?

Skoczył na równe nogi i zatarł ręce.

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiem, dokąd ty jedziesz, ja przenoszę się do Irlandii.

Staralam się mówić tak, jakbym oznajmiała najbardziej oczywistą rzecz pod słońcem.

Feliks z trudem łapał powietrze, niczym wyciągnięta z wody ryba.

– Uspokój się – powiedziałam.

– Kpisz sobie ze mnie? Chyba nie mówisz poważnie? Kto ci podsunął ten absurdalny pomysł?

– Wyobraź sobie, że Colin.

– Fantastycznie, zupełnie postradałaś zmysły. Za chwilę mi powiesz, że Colin powstał z martwych, aby ci powiedzieć, dokąd masz pojechać na wakacje.

– Nie bądź niemity. Po prostu kiedyś Colin chciał spędzić wakacje w Irlandii. Teraz pojedę tam dla niego.

– Nie ma mowy, nie pojedziesz – odrzekł stanowczo Feliks.

– Niby dlaczego?

– A co będziesz niby robić w kraju tych... tych...

– Kogo?

– Graczy w rugby i pożeraczy baranów.

– A od kiedy masz coś przeciwko graczom w rugby? Zwykle przypadają ci do gustu. Twoim zdaniem wyjazd do Tajlandii, jaranie na plaży w pełni księżyca i powrót z wytatuowanym na lewym pośladku „Forever Brandon” jest lepszym pomysłem?

– Słuszna uwaga... ty mała. Ale tego nie da się porównać. Wiedziałem, że nie jest z tobą najlepiej, lecz teraz kompletnie ci odbiło.

– Przestań. Już postanowiłam, że pojedę na kilka miesięcy do Irlandii i niewiele mnie obchodzi, co o tym myślisz.

– Nie licz na to, że pojedę z tobą.

Wstałam i zaczęłam porządkować wszystko, co mi wpadło w ręce.

– Tym lepiej, nikt cię nie zaprasza. Nie zamierzam brać ze sobą pieska, który nie odstępuje mnie na krok. Duszę się przy tobie! – krzyknęłam, wbijając w niego wzrok.

– Zapewniam cię, że niedługo znów zacznę ci się naprzykrzać.

Nie spuszczając ze mnie wzroku, wybuchnął śmiechem, po czym spokojnie zapalił papierosa.

– Chcesz wiedzieć czemu? Daję ci dwa dni góra. Wrócisz z podkulonym ogonem i zaczniesz mnie błagać, abym zabrał cię tam, gdzie będziesz mogła wygrzać się na słońcu.

– Nigdy w życiu. Myśl, co chcesz, ja naprawdę wyjeżdżam po to, żeby do siebie dojść.

– Wybrałaś najgorszy ze sposobów, chociaż przynajmniej wydajesz się trochę podniesiona na duchu.

– Czy przypadkiem nie czekają na ciebie twoi kumple?

Nie mogłam dłużej znieść jego inkwizytorskiego spojrzenia. Feliks wstał i podszedł do mnie.

– Chcesz, żebym poszedł opić twój najnowszy kaprys?

Z marsową miną położył dłonie na moich ramionach i zajrzał mi głęboko w oczy.

– Naprawdę chcesz poczuć się lepiej?

– Jasne.

– Dobrze, w takim razie zgadzam się, pod warunkiem że nie weźmiesz ze sobą koszul Colina ani zabawek Klary, i że zabierzesz wyłącznie swoje perfumy.

Wpadłam we własne sidła. Rozbolał mnie brzuch, bolała mnie głowa, bolała skóra. Nic nie umykało uwadze jego czarnych jak dwa węgielki oczu, przynaglająco wbijał mi palce w ramiona.

– Oczywiście, w miarę jak będę się czuła lepiej, powoli odetnę się od ich rzeczy. Powinieneś się cieszyć, przecież od dawna na to nalegasz.

Tylko cud sprawił, że głos nie uwiązł mi w gardle. Feliks odetchnął głęboko.

– Jesteś zbyt niesamodzielna, nie uda ci się. Colin nie puściłby cię samej. Cieszę się, że wymyśliłaś coś, co pomoże ci wyjść z depresji, ale błagam, zrezygnuj z wyjazdu. Znajdziemy coś lepszego. Boję się, że nie dasz rady.

– Klamka zapadła. Nie zmienię zdania.

– Prześpij się z tym. Porozmawiamy o tym jutro.

Feliks posmutniał. Pocałował mnie w policzek i bez słowa skierował się do wyjścia.

Położyłam się i naciągnęłam kołdrę. Tuliłam w ramionach misia Klary, próbując uspokoić rozszalałe bicie serca. Feliks się mylił. Colin zgodziłby się, żebym pojechała sama za granicę, pod warunkiem że to on zajmie się organizacją wyprawy. Kiedy gdzieś wyjeżdżaliśmy, to on był za wszystko odpowiedzialny, za bilety lotnicze, rezerwację pokoju, moje dokumenty. Nigdy nie powierzyłby mi ani mojego paszportu, ani Klary. Śmiał się, że bujam głową w chmurach. Czy uwierzyłby, że wcielę w życie ten pomysł? Nie byłam pewna.

Nigdy nie mieszkałam sama. Opuściłam dom rodziców, żeby zamieszkać z Colinem. Byłam przerażona, kiedy musiałam gdzieś zadzwonić, poprosić o radę, złożyć reklamację. Colin umiał się wszystkim zająć. Wyobrażałam sobie, że trzyma mnie za rękę i doradza w przygotowaniach. Chciałam, aby był ze mnie dumny. Udowodnię wszystkim, że jestem w stanie zrealizować swój plan, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobię przed śmiercią.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, jak na przykład moja technika pakowania walizek. Szafa świeciła pustkami, walizki nie chciały się zamknąć, a ja nawet nie wykorzystałam jednej czwartej dostępnego w nich miejsca. Jeszcze tylko książki i będę gotowa do drogi.

Kiedy szłam tędy ostatni raz? Na mój widok Feliks z wrażenia padnie trupem za barem. W niecałe pięć minut znalazłam się na Vieille-du-Temple. Na mojej ulicy. Niegdyś spędzałam tu całe dni: na tarasach, w butikach, galeriach, w pracy. Nie potrzebowałam więcej do szczęścia, wystarczyło mi tu być.

Dzisiaj ukryłam się pod kapturem bluzy Colina. Uciekałam przed witrynami sklepów i wystawami, mieszkańcami oraz turystami. Szłam jak najbliżej jezdni, niemal nie podnosząc wzroku. Wszystko dookoła mnie irytowało, nawet zapach pysznego gorącego chleba, który ulatniał się z mojej ulubionej piekarni.

Niedaleko Les Gens zwolniłam kroku. Od roku nie przekroczyłam progu kawiarni. Stałam nieruchomo na chodniku po drugiej stronie i nie mogłam nawet na nią spojrzeć. Ze wzrokiem wbitym w ziemię, z nisko pochyloną głową, wsunęłam dłoń do kieszeni. Marzyłam o nikotynie. Przechodnie popychali mnie i potracali. Wreszcie podniosłam oczy i popatrzyłam w kierunku mojej kawiarni literackiej z niewielką drewnianą witryną. Na samym środku były drzwi z dzwoneczkiem od wewnętrznej strony, z nazwą, którą wybrałam pięć lat temu: *Szczęśliwi ludzie czytają książki i piją kawę*. Wspomnienia prowadziły mnie z powrotem do życia z Colinem i Klarą.

W dniu otwarcia kawiarni panika sięgała zenitu. Prace wciąż były w toku, nie zdążyliśmy ułożyć książek. Feliks się spóźnił, sama musiałam doglądać robotników i błagać, aby się pospieszyli. Colin dzwonił co kwadrans. Uspokajał mnie, zapewniał, że zdążymy i będziemy gotowi na otwarcie. Za każdym razem połykałam łzy i śmiałam się jak szalona. W południe mój ukochany wspólnik, piękny jak młody bóg, wsadził do środka nos, w momencie gdy zaczynałam wpadać w histerię, ponieważ szyld jeszcze nie zawisł nad wejściem.

– Feliksie, gdzie ty się podziewasz? – krzyknęłam na niego.

– Byłem u fryzjera. Ty też mogłabyś się uczesać – odparł, z wyraźnym obrzydzeniem biorąc w palce kosmyk moich włosów.

– Kiedy twoim zdaniem miałam to zrobić? Nic nie jest jeszcze gotowe na wieczór. Od rana okłamuję Colina. Miałam rację. Wykrakałam, że to miejsce jest skażone na porażkę, klęskę, to zatrute jabłko. Dlaczego rodzice i Colin zgodzili się, kiedy im wyznałam, że chcę mieć kawiarnię literacką? Wcale nie chcę.

Miotalam się po kawiarni, a mój głos stawał się coraz bardziej piskliwy ze zdenerwowania. Feliks wyrzucił za drzwi pracowników, chwycił mnie w ramiona i potrząsnął mocno.

– Dość tego. Od teraz ja tu rządę. Idź się przyszykować.

– Nie mam czasu!

– Wybij sobie z głowy pomysł, że otworzymy kawiarnię, której właścicielka wygląda jak Gorgona.

Popchnął mnie w stronę drzwi na zapleczu, które prowadziły do wynajętego wraz z kawiarenką mieszkania. Znalazłam tam nową sukienkę i niezbędne dodatki, które miały mnie upiększyć. Pośrodku pokoju królował ogromny bukiet róż i frezji. Przebrałam bilecik od Colina, z jeszcze jednym zapewnieniem, że bardzo wierzy we mnie.

Otwarcie kawiarni okazało się wielkim sukcesem, chociaż mieliśmy zero na koncie. Feliks mianował się odpowiedzialnym za kasę. Colin z uśmiechem puszczał do mnie oko, co mi dodawało otuchy. Z Klarą na rękę krążyłam między stolikami, wśród rodziny, przyjaciół, znajomych z pracy mego męża, podejrzanych kumpli Feliksa oraz sprzedawców z pobliskich sklepów.

Dzisiaj, po pięciu latach, wszystko się zmieniło. Colin i Klara mnie opuścili. Nie miałam ochoty wracać do pracy. Wszystko przypominało mi męża i córkę. Dumę, która rozpierała Colina, kiedy wracał uczyć wygraną w sądzie, pierwsze samodzielne kroczyki Klary wśród klientów, moment, gdy pierwszy raz napisała swoje imię siedząc przy ladzie i popijając sok z owocu granatu.

Dostrzegłam na chodniku czyjś cień. Feliks chwycił mnie w ramiona.

– Dasz wiarę, że stoisz tu od pół godziny? Chodźmy.

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Nie po to tu przyszłaś, żeby nie wejść. Już czas, żebyś wstąpiła do Les Gens.

Feliks wziął mnie mocno za rękę i przeciągnął przez ulicę. Otworzył drzwi. Kiedy rozległ się dźwięk dzwoneczka, rozplakałam się.

– Ja też płaczę. Zawsze, gdy słyszę dzwoneczek, myślę o Klarze – powiedział Feliks. – Stań za ladą.

Posłuchałam bez słowa. Zapach kawy mieszał się z zapachem książek, zaciągałam się nim, czułam go wbrew sobie, oddychając pełną piersią. Przejechałam dłonią po drewnianej ladzie, aż lepkiej od brudu. Wzięłam filiżankę, ale też była brudna. Chwyciłam kolejną, niewiele czystsza.

– Feliksie, nie umiesz zadbać o porządek w Les Gens, tak jak i u mnie. To na-

prawdę ohydne.

– To dlatego, że mam za dużo na głowie, żeby jeszcze bawić się w idealną panią domu – odparł, wzruszając ramionami.

– Rzeczywiście roi się tu od klientów.

Feliks zostawił mnie dla jedyne gościa, z którym wyraźnie łączyła go intymna więź, sądząc po ukradkowych spojrzeniach, które sobie rzucali. Typ osuszył kieliszek i wyszedł z książką pod pachą, nie zbliżywszy się nawet do kasy.

– I co? Wracasz do pracy? – Feliks, nalał sobie kieliszek wina.

– O czym ty mówisz?

– Jesteś tu, bo wracasz do pracy? Zgadza się?

– Nie, przecież wiesz. Przyszłam po książki.

– A więc naprawdę wyjeżdżasz? Masz czas, nie pali się.

– Chyba nic do ciebie nie dotarło. Wyjeżdżam za osiem dni. Podpisałam i odesłałam właścicielom umowę wynajmu.

– Jaką umowę?

– Wynajęłam domek, w którym zamieszkać przez najbliższe kilka miesięcy.

– Jesteś pewna, że to dobry plan?

– Nie. Niczego nie jestem pewna. Okaże się na miejscu.

Mierzyliśmy się wzrokiem.

– Diane, nie możesz mnie zostawić samego.

– Od ponad roku pracujesz beze mnie. Nie jestem w tej chwili czempionem wydajności i skuteczności. Lepiej doradź mi, jakie mam wziąć książki.

Bez zapału Feliks wskazał swoje ulubione tytuły; zgodziłam się bez zastanowienia. Tak naprawdę, było mi wszystko jedno. Znałam jedną pozycję, którą mi polecił, *Kroniki San Francisco*. Mój najlepszy przyjaciel uważał, że Armistead Maupin jest dobry na każde zmartwienie. Być może, nigdy wcześniej go nie czytałam. Unikając mojego wzroku, Feliks postawił książki na barze.

– Zniosę je do domu, są ciężkie.

– Dziękuję. Mam jeszcze coś do załatwienia.

Mój wzrok powędrował do kącika za barem. Podeszłam tam, wiedziona ciekawością. W ramce wisiały zdjęcia Colina, Klary, Feliksa i moje. Kompozycja została wykonana z nadzwyczajną pieczołowitością. Odwróciłam się do Feliksa.

– Idź już do domu – szepnął.

Stał przy drzwiach. Zatrzymałam się, pocałowałam go czule w policzek i wyszłam.

– Diane! Nie czekaj na mnie. Dzisiaj nie przyjdę.

– Okej. Do jutra.

– Colin!

Serce waliło mi w piersiach. Zlana potem, rzucałam się na łóżku. Na mój krzyk odpowiedział jedynie chłód pustego miejsca po moim mężu. A przecież musiał tu być. Całował mnie. Jego wargi muskały moją szyję, przesuwając się w stronę ra-

mienia. Czułam na szyi jego oddech, nogi splecione z moimi, słyszałam jego szept. Zrzuciłam pościel i opuściłam na podłogę gołe stopy. Z ulicy dochodziło światło latarni. Trzeszczenie drewnianego parkietu pod moimi nogami przypomniało mi małe stópki Klary, kiedy biegła do drzwi, słysząc jak Colin przekręca klucz w zamku.

Każdego wieczora powtarzałyśmy ten sam rytuał. Przytulałyśmy się do siebie na kanapie, Klara w nocnej koszulce i ja, czekające z niecierpliwością na męża i tatę. Spieszyła do drzwi, i ledwie Colin zdążył postawić teczkę na stoliku, malutka Klara rzucała mu się w objęcia.

Czekałam na nich w salonie, a kiedy Colin się zbliżał, rozwiązywałam mu krawat, on mnie całował. Wtedy wpadała między nas Klara. Po zjedzeniu kolacji Colin szedł ją położyć, i zostawialiśmy sami, pewni, że Klara spokojnie śpi w łóżeczku, z kciukiem w buzi.

Nagle uświadomiłam sobie, że nasz dom przestał istnieć. Chociaż pragnęłam zachować wszystko tak jak dawniej, nie udało mi się. Wszystko przeminęło, teczka Colina, szczęknięcie klucza w zamku, torby z zakupami na podłodze... Nigdy więcej tu nie wrócę.

Po trzech kwadransach jazdy metrem utknęłam u podnóża schodów do wyjścia. Z każdym krokiem moje nogi robiły się coraz cięższe, jakby były z ołowiu. Nie wiedziałam, że wejście na cmentarz znajdowało się tuż przy stacji metra. Po przejściu przez barierkę pomyślałam, że nie mogę się zjawić z pustymi rękami. Weszłam do najbliższej, jednej z wielu w tej okolicy kwiaciarni.

– Chcę kupić kwiaty.

– Jest pani we właściwym miejscu – uśmiechnęła się do mnie kwiaciarka. – Czy to na specjalną okazję?

– Wybieram się tam – odparłam, wskazując na cmentarz.

– Chciałaby pani coś klasycznego?

– Wystarczą dwie róże.

Zdziwiona sprzedawczyni podeszła do ciętych kwiatów.

– Białe – dodałam. – Proszę nie pakować, wezmę je luzem, bez przybrania.

– Ale...

– Ile płacę?

Rzuciłam na ladę banknot, wyrwałam jej z dłoni kwiaty i pobiegłam do wyjścia.

Zatrzymałam się na wysypanej żwirem głównej alei cmentarza, uważnie przyglądając się grobom po obu stronach. Gdzie oni leżą? Wyszłam z cmentarza i osunęłam się na ziemię. Drżącą ręką wystukałam numer do Les Gens.

– Szczęśliwi ludzie pieprzą się i chlają – usłyszałam w słuchawce.

– Feliksie – szepnęłam.

– Co się stało?

– Nie wiem, gdzie oni są, dasz wiarę? Nie mogę iść się z nimi zobaczyć.

– Kogo chcesz zobaczyć? Nie rozumiem, o czym mówisz. Gdzie jesteś? Dlaczego płaczesz?

– Chcę odwiedzić Colina i Klarę.

– Jesteś... jesteś na cmentarzu?

– Tak.

– Już do ciebie jadę, poczekaj na mnie.

Byłam na cmentarzu tylko raz, w dniu pogrzebu. Nigdy więcej tam nie poszłam.

W dniu śmierci Colina i Klary uciekłam ze szpitala. Moi rodzice oraz rodzice Colina patrzyli na mnie z przerażeniem, gdy oświadczyłam, że nie wezmę udziału również w pochówku. Teściowie wyszli, trzaskając drzwiami.

– Diane, czy ty kompletnie oszalałaś? – krzyknęła matka.

– Mamo, nie dam rady, to dla mnie za trudne. Gdy zobaczę zamknięte trumny z nimi w środku, to będzie znaczyło, że wszystko skończone.

– Colin i Klara nie żyją – odparła. – Musisz się z tym pogodzić.

– Zamknij się. Nie pójdę na pogrzeb, nie chcę patrzeć, jak odchodzą.

Rozpłakałam się i stanęłam plecami do rodziców.

– Jak to? – wysapał ojciec.

– To twój obowiązek – dorzuciła matka. – Po pierwsze, pójdziesz, a po drugie, nie będziesz robić scen.

– Mój obowiązek? Mówicie mi, że to mój obowiązek? Mam to gdzieś.

Odwróciłam się gwałtownie w ich stronę. Wściekłość wzięła górę nad bólem.

– Oczywiście, że tak. Masz obowiązki i musisz je wypełnić – oświadczył ojciec.

– Zupełnie was nie obchodzimy, ja, Colin i Klara. Dbacie tylko o pozory. Chcecie się pokazać, jako rodzina w żałobie.

– Bo jesteśmy rodziną w żałobie – odgryzła się matka.

– Nie. Właśnie straciłam jedyną rodzinę, jaką znałam, moją prawdziwą rodzinę.

Z trudem łapałam oddech, nie spuszczałam z rodziców wzroku. Na krótką chwilę na ich twarzach pojawił się cień emocji. Szukałam w nich skruchy. Na próżno; fasada pozostała niewzruszona.

– Nie wolno ci się zwracać do nas tym tonem, jesteśmy twoimi rodzicami – upomniał mnie ojciec.

– Wynoście się! – ryknęłam, wskazując palcem drzwi. – Już was tu nie ma.

Ojciec podszedł do matki, podał jej ramię i poprowadził do wyjścia.

– Bądź punktualnie gotowa, przyjedziemy po ciebie – zdążyła powiedzieć matka, zanim zeszła mi z oczu.

W dniu pogrzebu przyjechali po mnie, surowi i precyzyjni jak zegarki szwajcarskie. Nie zrozumieli nic z tego, co im powiedziałam.

Byłam tak skrajnie wyczerpana, że nie miałam siły z nimi walczyć. Szorstko i oschle matka kazała mi się ubrać. Ojciec wepchnął mnie do samochodu. Przed kościołem wyrwałam się im i rzuciłam w ramiona Feliksa. Od tamtej chwili kurczowo się go trzymałam. Kiedy ruszył orszak żałobny, ukryłam twarz na jego piersi. Podczas pogrzebu Feliks szeptał mi do ucha o tym, co się wydarzyło w ostatnich dniach. To on wybrał ubrania na ich ostatnią drogę; sukienkę w kwiatki dla Klary

oraz pluszowego misia, którego położył przy niej, szary krawat dla Colina i zegarek, który podarowałam mu na trzydzieste urodziny. Tylko dzięki Feliksowi pokonałam drogę na cmentarz. Staliśmy z tyłu, dopóki nie podeszli do mnie rodzice z kwiatami w ręku. Ojciec rzekł:

– Feliksie, pomóż jej podejść do nich. Wypada, żeby to zrobiła. To nie jest właściwa chwila, żeby stroić fochy.

Feliks ścisnął mnie za dłoń i wyrwał kwiaty z rąk matki.

– Nie robisz tego dla nich, tylko dla Colina i Klary.

Wrzuciłam kwiaty do dołu.

– Przybiegłem najszybciej, jak się dało – powiedział Feliks. – Zostaw te róże, pokłujesz się.

Kucnął obok mnie, rozłożył moje palce, zabrał kwiaty i położył je na ziemi. Miałam pokrwawione dłonie, a nawet nie czułam ukłuć kolców. Feliks objął mnie w pasie i pomógł wstać z ziemi.

Na cmentarzu podeszliśmy do hydrantu. Feliks w milczeniu umył moje dłonie. Nalał wody do konewki, wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą. Gdy doszliśmy na miejsce, zaczął myć grób, ich grób; grób, który widziałam po raz pierwszy w życiu. Wpatrywałam się w każdy szczegół, kolor marmuru, wykute w kamieniu litery. Colin przeżył trzydzieści trzy lata, Klara nie doczekała szóstych urodzin. Feliks podał mi róże.

– Porozmawiaj z nimi.

Złożyłam swój idiotyczny dar na grobie i uklęknęłam.

– Hej najdrożsi... wybaczcie... nie wiem, co powiedzieć...

Głos uwiązał mi w gardle. Ukryłam twarz w dłoniach. Zrobiło mi się zimno, potem gorąco. Ogarnęły mnie mdłości.

– Tak mi ciężko, Colinie. Dlaczego zabrałaś ze sobą Klarę? Nie miałaś prawa odejść, nie miałaś prawa wziąć jej ze sobą. Nie mogę ci darować, że zostawiłaś mnie samą. Jestem kompletnie zagubiona. Powinnam była umrzeć razem z wami.

Otarłam dłonią łzy. Głośno pociągnęłam nosem.

– Nie mogę uwierzyć, że już nigdy do mnie nie wrócicie. Wciąż na was czekam. Wszystko jest gotowe, czeka na was w domu... Wszyscy mi powtarzają, że to nie jest normalne. Postanowiłam wyjechać. Pamiętasz Colinie, chciałaś pojechać do Irlandii, a ja się nie zgodziłam. Byłam taka głupia... Pojadę tam na jakiś czas. Nie wiem, gdzie jesteście, ty i Klara, ale potrzebuję was, opiekujcie się mną, chrońcie mnie. Kocham was...

Na chwilę zamknęłam oczy. Ledwie się podniosłam, z trudem zachowując równowagę. Feliks pomógł mi wstać. Poszliśmy do wyjścia, nie odwracając się i nie zamieniając ze sobą ani słowa. Przed zejściem do metra Feliks przystanął.

– Muszę przyznać, że nie wierzyłem ci, kiedy mówiłaś, że zamierzasz wziąć się w garść – rzekł. – Ale dziś udowodniłaś, że mówiłaś prawdę. Jestem z ciebie dumny.

W przeddzień wyjazdu zadzwoniłam do rodziców. Od kiedy powiedziałam im o Irlandii, robili wszystko, żeby mnie odwieść od tej decyzji i przekonać, żebym nie wyjeżdżała. Dzwonili codziennie. Na szczęście sekretarka automatyczna działała bez zarzutu.

– Mamo, tu Diane.

W tle jak zwykle ryczał na cały regulator telewizor.

– Jak się czujesz, kochanie?

– Jestem gotowa do wyjazdu.

– Ty w kółko o tym samym! Mój drogi, dzwoni twoja córka i wciąż mówi o wyjeździe.

Usłyszałam skrzypienie przesuwanego po podłodze krzesła. Ojciec wziął do ręki słuchawkę.

– Posłuchaj, córeczko. Przyjedź do nas na kilka dni. Dojdiesz do siebie i przemyślisz różne sprawy.

– Tato, nie zmienię zdania. Jutro wyjeżdżam. Nie potrafisz zrozumieć, że nie chcę z wami mieszkać. Jestem dorosła, mam trzydzieści dwa lata. W tym wieku nie mieszka się z rodzicami.

– Nigdy nie byłaś samodzielna. Ktoś musi się tobą zająć. Nie umiesz doprowadzić niczego do końca. Fakty mówią same za siebie. Daliśmy ci pieniądze na kawiarnię, i jeśli dzisiaj masz z czego żyć i płacić za swoje fanaberie, to tylko dlatego, że Colin był przewidujący. Mówiąc szczerze, uważam, że wyjazd za granicę jest ponad twoje możliwości.

– Dzięki, tato. Nie wiedziałam, że jestem dla was aż takim ciężarem. Twoje słowa będą mi towarzyszyć w podróży.

– Daj mi ją do telefonu, tylko ją denerwujesz – usłyszałam w tle głos matki. – Kochanie, ojciec nie jest dyplomata, ale ma rację. Jesteś niepoważna. Gdyby chociaż Feliks z tobą jechał, to bylibyśmy spokojniejsi, mimo że nie jest dla ciebie wymarzoną opiekunem. Posłuchaj, daliśmy ci do tej pory spokój. Myśleliśmy, że potrzebujesz czasu, aby do siebie dojść. Dlaczego nie pójdziesz do psychiatry, którego ci polecałam? Poczulałybyś się lepiej.

– Mamo, daj mi spokój. Nie potrzebuję psychiatry, nie chcę z wami mieszkać i nie chcę, żeby Feliks mi towarzyszył. Marzę o spokoju, rozumiesz? Chcę być sama. Mam dosyć ciągłego nadzoru. Gdybyście się chcieli ze mną skontaktować, to znacie mój numer. I nie musicie mi życzyć szczęśliwej podróży.

Szeroko otwartymi oczami gapiłam się w sufit. Czekałam, aż zadzwoni budzik. Przez całą noc nie zmrużyłam oka, ale fakt, że bezceremonialnie rzuciłam słuchawkę podczas rozmowy z rodzicami nie miał nic wspólnego z moją bezsennością. Za kilka godzin wsiądę do samolotu i polecę do Irlandii. Właśnie spędzałam ostatnią noc w naszym mieszkaniu, w naszym łóżku.

Po raz ostatni przytuliłam się mocno do miejsca Colina. Wcisnęłam twarz w jego jasiek, potarłam nosem od zamokłego od moich łez misia Klary. Kiedy usłyszałam

dźwięk budzika, jak automat wstałam z łóżka.

W łazience odsłoniłam lustro i po raz pierwszy od miesiący spojrzałam na swoje odbicie. Całkiem zniknęłam w koszuli Colina. Patrzyłam, jak moje palce odpinają guziki. Wysunęłam najpierw jedno ramię, potem drugie. Koszula ześlizgnęła się i upadła u moich stóp. Po raz ostatni umyłam głowę szamponem Klary. Wychodząc spod prysznic, unikałam widoku leżącej na podłodze koszuli. Ubrałam się jak dawna Diane, w dzinsy, obcisłą koszulkę i opinający sweterek. Momentalnie poczułam, że się duszę. Z trudem zdjęłam sweter i sięgnęłam po bluzę z kapturem Colina. Kiedy ją włożyłam, znowu mogłam swobodnie oddychać. Nosiłam ją jeszcze przed jego śmiercią, więc wciąż miałam do niej prawo.

Zerknęłam na zegarek. Miałam niewiele czasu. Z filiżanką kawy w dłoni i papierosem w ustach wybrałam na chybił trafił kilka zdjęć i wrzuciłam do torebki.

Usiadłam na kanapie. Czekałam na moment odjazdu, nerwowo bawiąc się palcami u rąk. Potarłam kciukiem obrączkę. Pewnie poznam w Irlandii ludzi, którzy na jej widok zaczną mi zadawać pytania o męża, a ja nie będę wiedziała, co odpowiedzieć. Nie rozstanę się z obrączką, ale muszę ją ukryć. Odpięłam łańcuszek, który miałam na szyi, zawiesiłam na nim obrączkę i ukryłam ją przed ciekawskimi spojrzeniami pod bluzą.

Dwa dźwięki dzwonka przerwały ciszę. Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Feliks. Spojrzał na mnie bez słowa. Jego twarz nosiła ślady minionej nocy, miał czerwone i zapuchnięte oczy, śmierdział alkoholem i papierosami. Nie musiał nic mówić, wiedziałam, że ma przepity głos. Zaczął wynosić moje walizki. Przeszłam się po mieszkaniu, pogasiłam światła, zamknęłam pokoje. Zacisnęłam dłoń na klamce, nim zatrzasnęłam drzwi. Jedyнным dźwiękiem, jaki usłyszałam, był dźwięk obracającego się klucza w zamku.

Rozdział 3

Położyłam walizki na ziemi i stałam nieruchomo przed wynajętym samochodem, trzymając w dłoni kluczyki. Na parkingu hulał taki wiatr, że ledwo mogłam utrzymać równowagę.

Odkąd wysiadłam z samolotu, czułam, jakbym unosiła się nad ziemią. Bezmyślnie podążałam za innymi pasażerami, żeby odebrać bagaże. Potem, w wypożyczalni samochodów udało mi się, pomimo ciężkiego akcentu, zrozumieć rozmówcę i podpisać z nim umowę.

Jednak chwilę potem, stojąc przed samochodem, sparaliżowana i rozbita, zadałam sobie pytanie, co ja tu u licha ciężkiego robię. Ale nie miałam wyjścia: chciałam znaleźć się w domu, a od teraz mój dom znajdował się w Mulranny.

Bezskutecznie usiłowałam użyć zapalniczki, lecz rozszalały wicher nie przestawał dąć. Zaczynał działać mi na nerwy. Wreszcie udało mi się zapalić papierosa, chociaż przy okazji osmaliłam sobie zablakany przy twarzy kosmyk włosów, i wrzuciłam do bagażnika walizki.

Naklejka na przedniej szybie przypomniła mi o lewostronnym ruchu w Irlandii. Zapaliłam silnik i wrzuciłam pierwszy bieg, ale samochód zgasł. Druga i trzecia próba również skończyły się porażką. Musiałam dostać wadliwy egzemplarz. Podeszłam do budki, w której siedziało pięciu dziarskich chłopów. Uśmiechali się, ani chybi widzieli całą scenę.

– Poproszę o inny samochód, ten nie chce zapalić – rzekłam z irytacją.

– Dzień dobry – odparł najstarszy z nich z uśmiechem. – Co się stało?

– Nie mam pojęcia. Nie chce ruszyć.

– Do dzieła, chłopaki, pomóżmy damie.

Byli tacy ogromni, aż cofnęłam się, kiedy wychodzili na zewnątrz. „Gracze w rugby, którzy pożerają barany”, mówił Feliks i nie mylił się. Panowie podeszli ze mną do samochodu.

Wykonałam kolejną bezowocną próbę włączenia samochodu, który ponownie zarzęził.

– Pani pomyliła biegi – oznajmił radośnie jeden z wielkoludów.

– Gdzie tam, nie... skąd, umiem prowadzić samochód.

– Niech pani wrzuci na piąty, to znaczy piąty dla pani, i pani zobaczy.

Tym razem w spojrzeniu mężczyzny nie było cienia kpiny. Posłuchałam się go. Samochód zapalił i ruszył do przodu.

– U nas wszystko jest odwrotnie. Lewa strona, kierownica i biegi.

– Poradzi sobie pani? – zapytał mnie drugi olbrzym.

– Tak, dziękuję.

– Dokąd pani jedzie?

– Do Mulranny.

– To kawał drogi. Proszę uważać, zwłaszcza na rondach.

– Dziękuję za radę.

– Przyjemność po mojej stronie. Do zobaczenia i dobrej podróży.

Na pożegnanie tęgie chwaty skinęły głowami i wyszczerzyły zęby w uśmiechu. Od kiedy to pracownicy wypożyczalni samochodów byli tacy sympatyczni i usłużni?

W połowie drogi zaczęłam się powoli odprężyć. Zdałam sprawdzian z jazdy po autostradzie i przejechałam przez pierwsze rondo. Poza tym nie dostrzegłam niczego ciekawego poza pasącymi się baranami i jasnozielonymi, rozciągającymi się po horyzont polami. Jak okiem sięgnąć. Zero korków i deszczu na horyzoncie.

Przywoływałam wciąż w pamięci pożegnanie z Feliksem. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa między mieszkaniem a lotniskiem. Feliks palił jednego papierosa za drugim, w ogóle na mnie nie patrząc. Otworzył usta dopiero w ostatniej chwili. Popatrzyliśmy sobie w oczy, nie wiedząc, co powiedzieć na pożegnanie.

– Będiesz na siebie uważać? – zapytał.

– Nie martw się o mnie.

– Jeszcze możesz zrezygnować z wyjazdu, nie musisz tam jechać.

– Nie komplikuj wszystkiego niepotrzebnie. Już pora, muszę się odprawić.

Nie znoszę pożegnań, to było trudniejsze, niż myślałam. Przytuliłam się mocno do Feliksa, a on stał przez chwilę sztywny, zanim zareagował i zamknął mnie w ramionach.

– Dbaj o siebie, nie rób głupstw – rozkazałam mu. – Obiecujesz?

– Zobaczy się. Biegnij już.

Puścił mnie, a ja chwyciłam torbę i poszłam w kierunku bramek. Pomachałam mu i wyjęłam paszport do kontroli. Podczas załatwiania formalności czułam na sobie ciężkie spojrzenie Feliksa, ale nie odwróciłam się już w jego stronę.

W końcu dojechałam na miejsce. Znalazłam się w Mulranny, przed domkiem, na którego zdjęcia zamieszczone w ogłoszeniu ledwo zwróciłam uwagę. Musiałam przejechać przez wieś i jechać dziką drogą wzdłuż plaży, aby dotrzeć do celu.

Okazało się, że nie będę mieszkała sama, mój domek sąsiedował z drugim. Drobna kobieta, która wyszła na powitanie, pozdrowiła mnie ruchem ręki. Zmusiłam się do uśmiechu.

– Dzień dobry, Diane. Mam na imię Abby i jestem właścicielką domku. Jak mi-
nęła podróż?

– Miło panią poznać.

– Musisz wiedzieć, że wszyscy tu się znają. Nie przyjechałaś na rozmowę kwalifikacyjną. Lepiej będzie, jeżeli nie będziesz mówić do mnie per pani. Pomińmy kwestie szacunku czy dobrego wychowania, zgoda?

Po czym zaprosiła mnie do domku, który wkrótce stanie się moim. Wnętrze było ciepłe i przytulne.

Abby wciąż trajkotała; nie słuchałam ani połowy z tego, co mówiła, uśmiechałam się głupio i w odpowiedzi kiwałam twierdząco głową. Abby szczegółowo opowiadała mi o urządzeniach kuchennych, kablach elektrycznych, porach przypląwu i odpływu. Kiedy wspomniała o godzinach mszy, przerwałam jej.

– Nie interesuje mnie kościół, pogniewałam się na niego.

– W takim razie mamy problem, Diane. Powinnaś była zasięgnąć informacji, zanim się tu wybrałaś. Irlandczycy walczyli o niepodległość i religię. Będziesz żyła wśród katolików, którzy są dumni z tego faktu.

Mój pobyt nieźle się rozpoczął.

– Abby, jest mi przykro...

Parsknęła śmiechem.

– Odpreż się, na litość boską. Tylko się z tobą przekomarzam. Już taka jestem. Nie musisz chodzić ze mną w niedzielę do kościoła na poranną mszę. Ale weź sobie do serca jedną radę: pamiętaj, że nie jesteśmy Anglikami.

– Będę pamiętała.

Abby z entuzjazmem wróciła do oprowadzania mnie po domu. Na piętrze była łazienka i sypialnia. Będę mogła spać w poprzek podwójnego łóżka, co nie było niczym dziwnym w krainie olbrzymów.

– Abby – udało mi się jej przerwać – dziękuję za wszystko. Jest doskonale, nie mogło być lepiej. Niczego nie będzie mi brakować.

– Wybacz mi nadmiar entuzjazmu, ale nie posiadam się z radości, że zamieszkas w domku zimą. Nie mogłam się cię doczekać. Pójdę już, żebyś mogła się spokojnie rozpakować.

Odprowadziłam ją do wyjścia. Abby wsiadła na rower, odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Zapraszam cię na kawę. Poznasz Jacka.

Podczas pierwszej nocy na moje powitanie rozpętały się żywioły. Wiatr hulał, deszcz dudnił o okno, dach trzeszczał. Pomimo ogromnego zmęczenia i wygodnego łóżka nie zmrużyłam oka, dumając nad wydarzeniami poprzedniego dnia.

Rozładowanie samochodu było jeszcze bardziej wyczerpujące niż załadowanie. Poustawiałam walizki w salonie i załamalam się, uświadamiając sobie, że nie wzięłam ze sobą nic do jedzenia. Pobiegłam do kuchenki. Szafki i lodówka uginały się pod ciężarem jedzeniem. Niewątpliwie Abby mi o tym mówiła, a ja jej nawet nie podziękowałam. Co za wstyd. Wykazałam się brakiem wychowania i dobrych manier. Powinnam w najbliższych dniach pofatygować się do niej z przeprosinami. Mulranny jest rzeczywiście małe: główna ulica, sklepik samoobsługowy, stacja benzynowa i pub. Nie ma ryzyka, że się zgubię albo nadwerzę kartę kredytową w butikach z ciuchami.

Powitanie gospodyni spłoszyło mnie. Wyglądało na to, że Abby chce się ze mną zaprzyjaźnić, czego nie brałam pod uwagę. Będę musiała trzymać ją na dystans i odrzucać jej zaproszenia. Nie po to tu przyjechałam, aby niańczyć starszą parę. Nie chciałam nikogo poznawać.

Przez tydzień z okładem nie opuszczałam domku. Zakupy, które zrobiła Abby, oraz zapas papierosów pozwoliły mi przetrwać ten czas potrzebny na uporządkowanie wszystkiego. Trudno mi było poczuć się tu jak u siebie w domu. Nic nie przypominało mi mojego poprzedniego życia. Latarnie nie rozświetlały nocy, zza okien nie dochodziły odgłosy miasta. Kiedy słabł wiatr, cisza stawała się przytłaczająca. Marzyło mi się, że moi (ciągle nieobecni) sąsiedzi wydają wielkie przyjęcie; to byłaby dla mnie kołysanka. Zapach potpourri nie przypominał zapachu pastowanego parkietu w moim mieszkaniu, a anonimowość paryskich sklepów była jak z innego świata.

Żałowałam, że nie wybrałam się wcześniej do wsi. Być może uniknęłabym ciekawskich spojrzeń, kiedy po raz pierwszy poszłam na zakupy. Nawet nie musiałam nadstawiać ucha, żeby wiedzieć, o czym rozmawiają ludzie. Byłam nieznajomą, obcą. Pochodziłam z innego kraju, co podsycalo ciekawość lokalnej społeczności. Klienci odwracali się w moją stronę, uśmiechając się i kiwając głową na powitanie. Niektórzy mnie zagadywali, a ja w odpowiedzi mruzczałam coś niezrozumiale. Nie miałam zwyczaju witać się z ludźmi, których spotykałam w sklepie. Przechadzałam się między półkami. Było tu wszystko, żywność, ubrania, a nawet pamiątki dla tu-

rystów, choć chyba tylko ja byłam na tyle szalona, że odważyłam się tu przyjechać. Ale jedno było pewne: wszędzie czaiły się barany, na porcelanowych filiżankach, na półkach w dziale mięsnym, no i rzecz jasna, na swetrach, chustach i szalach. Hodowano tu te zwierzęta, żeby je jeść, oraz by się w nie przyodziać. Tak jak w prehistorycznych czasach mamutów.

– Diane, miło cię widzieć – powiedziała Abby. Nie zauważyłam, kiedy weszła do sklepu.

– Dzień dobry – odparłam, podskakując ze zdumienia.

– Wybierałam się dziś do ciebie. Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję.

– Udało ci się znaleźć to, czego potrzebujesz?

– Niezupełnie, nie wszystko tu jest.

– Masz na myśli bagietkę i ser?

– Proszę? Ja...

– Hej, tylko żartowałam. Skończyłaś już?

– Chyba tak.

– To chodź, przedstawię cię.

Z uśmiechem na ustach chwyciła mnie za ramię i poprowadziła od jednych znomych do drugich. Od miesiący nie rozmawiałam z taką masą ludzi. Ich uprzejmość całkiem mnie speszyła. Po półgodzinie wymiany grzeczności zdołałam wreszcie stanąć w kolejce do kasy. Udało mi się zaszyć w domu na dziesięć dni, ale teraz już nie mogłam wykręcić się od odwiedzin u Abby. Ledwie wytargowałam kilka dni, aby móc się lepiej przygotować do wizyty.

U moich gospodarzy było bardzo przytulnie. Rozsiadłam się wygodnie na kanapie przed wielkim rozpalonym kominkiem, z filiżanką gorącej herbaty w dłoni.

Jack był olbrzymem z siwą brodą. Jego spokój i opanowanie stanowiły doskonałą przeciwwagę dla egzaltacji jego żony. Bez skrępowania sięgnął po Guinnessa o czwartej po południu. Gracze w rugby pożerają barany, popijając ciemnym piwem, rzekłam do siebie w myślach, uzupełniając opis Feliksa. Ciemne piwo przypomniało mi Colina. Starłam się podtrzymać rozmowę. Najpierw zainteresowałam się ich psem, Listonoszem Patem, który na moje powitanie skoczył na mnie i uwalił się na moich nogach. Następnie napomknęłam o deszczu i ładnej pogodzie – o deszczu przede wszystkim – oraz o tym, jak przyjemnie jest w ich domku. Potem skończyły mi się tematy.

– Pochodzicie z Mulranny? – To było ostatnie pytanie, które przyszło mi do głowy.

– Tak, ale dopóki nie przeszedłem na emeryturę, mieszkaliśmy w Dublinie – odparł Jack.

– Co robiłeś?

– Był lekarzem – wpadła mu w słowo Abby. – Lepiej ty nam powiedz, czym się zajmujesz, to o wiele ciekawsze. Jestem bardzo ciekawa, dlaczego przyjechałaś za-

grzebać się na tym pustkowiu.

Zagrzebać się, dobrze powiedziane. Abby sama sobie odpowiedziała na pytanie.

– Chciałam zwiedzić Irlandię.

– Sama? Jak to możliwe, że taka ślicznotka jak ty nie ma towarzystwa?

– Daj jej spokój – upomniał ją Jack.

– To skomplikowane, zbyt długo musiałabym wam tłumaczyć. Muszę się zbierać.

Wstałam, chwyciłam kurtkę i torebkę i ruszyłam do drzwi. Abby i Jack poszli za mną. Po moich słowach powiało chłodem. Kilka razy potknęłam się o Listonosza Pata, który wybiegł na dwór, gdy tylko otworzyłam drzwi.

– Pewnie macie pełno roboty przy psie, jest jak duża dzidzia! – rzuciłam na pożegnanie (myśląc o Klarze).

– Dzięki Bogu nie jesteśmy jego właścicielami.

– Do kogo należy?

– Do Edwarda, naszego bratanka. Opiekujemy się Patem tylko wtedy, gdy Edward wyjeżdża.

– Jest twoim sąsiadem – powiedziała Abby.

Byłam rozczarowana. Zdążyłam uwierzyć, że nikt nie mieszkał w sąsiednim domku, i to mi odpowiadało. Nie potrzebowałam sąsiadów. Nawet moi gospodarze mieszkali za blisko.

Abby i Jack odprowadzili mnie do samochodu. Nagle pies zaczął wściekle ujadać i rzucać się na wszystkie strony. Przed dom zajechała czarna terenówka cała umazana błotem.

– O wilku mowa! – wykrzyknął Jack.

– Poczekaj chwilę, przedstawię was sobie – poprosiła Abby, dotykając mojego ramienia.

Wspomniany bratanek wysiadał właśnie z samochodu. Miał tak odpychający i pogardliwy wyraz twarzy, że nie sposób było zapalać do niego sympatią. Jack i Abby stanęli przy nim, a on oparł się o drzwi i założył ręce na piersi. Wydał mi się odstręczający. Nie uśmiechał się. Wyglądał na aroganta, faceta, który spędza wiele godzin w łazience, dopracowując wizerunek zaniedbanego abnegata i twardziela.

– Edwardzie! Przyjechałeś w samą porę! – wykrzyknęła Abby.

– Czemuż to?

– To świetny moment, abyś poznał Diane.

Wreszcie Edward odwrócił się w moim kierunku, zsunął okulary przeciwsłoneczne, całkowicie bezużyteczne, zważywszy na mgłę, i zmierzył mnie wzrokiem. Czułam się jak ochłap w sklepie mięsnym. Spojrzenie, którym mnie zaszczycił, nie zdradzało, żeby nabrał na mnie apetytu.

– Nie sądzę. Kim ona jest? – zapytał oschle.

Postanowiłam, że okażę dobre maniery i podeszłam do niego.

– Wygląda na to, że będziemy sąsiadami.

Edward jeszcze bardziej się zachmurzył, wyprostował i odwrócił do moich go-

spodarzy, całkiem mnie ignorując.

– Przecież mówiłem wam, że nie życzę sobie nikogo pod bokiem. Na ile ona tu przyjechała?

Zapukałam w jego plecy jak w drzwi. Jeszcze bardziej zeszywniał. Odwrócił się, ale nie cofnęłam się przed nim. Stałam na palcach.

– Możesz mówić bezpośrednio do mnie, wiesz?

Edward uniósł brew, wyraźnie zagniewany, że ośmieliłam się do niego przemówić.

– Nigdy do mnie nie przychodź – odparł, posyłając mi mrożące krew w żyłach spojrzenie.

Po czym odwrócił się niegrzecznie, zagwizdał na psa i ruszył w głąb ogrodu.

– Nie przejmuj się nim – pocieszył mnie Jack.

– Nie chciał, żebyśmy wynajęli domek, ale nie ma nic do gadania. Po prostu ma zły humor – dodała Abby.

– Raczej jest źle wychowany – mruknęłam pod nosem. – Do widzenia.

Niestety nie mogłam się ruszyć, bo mój wóz został zablokowany przez samochód sąsiada. Nacisnęłam z całej siły klakson. Abby i Jack roześmiali się i wrócili do domu.

Ujrzałam we wstecznym lusterku Edwarda. Zbliżał się nonszalanckim krokiem, z papierosem w ustach. Otworzył bagażnik, do którego wskoczył pies. Jego powolne ruchy tak bardzo wyprowadziły mnie z równowagi, że walnęłam dłonią w kierownicę. Nie patrząc w moim kierunku, pstryknął niedopałkiem na przednią szybę mojego samochodu. Ruszył z piskiem opon, a brudna woda obryzgała mój wóz. Ledwo zdążyłam włączyć wycieraczki, kiedy zniknął z pola widzenia. Prostak.

Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby za każdym wyjściem z domu nie przemakać do suchej nitki. Dzisiaj znowu mi się nie udało. Po pierwsze, zrezygnuję z parasola, całkowicie bezużytecznego sprzętu. W cztery dni połamałam cztery. Po drugie, nie zaufam promieniom słonecznym, które znikają tak samo szybko, jak się pojawiały. Po trzecie i ostatnie, zacznę się szykować do wyjścia, gdy będzie ulewa, ponieważ podczas wkładania botków, trzech swetrów, płaszcza i chustki najgorszy deszcz mógł przejść, zmniejszając ryzyko przemoknięcia. Wypróbuję ten sposób, gdy najdzie mnie ochota na spacer.

Moja metoda okazała się skuteczna, pomyślałam, kiedy po raz pierwszy usiadłam na piasku na plaży, żeby popatrzeć na morze. Przypadkowo znalazłam piękny zakątek, gdzie poczułam się jakbym była sama na świecie. Zamknęłam oczy, kołysana szumem fal, które uderzały o brzeg kilka metrów dalej. Wiatr tak szalał, aż pociekły mi łzy, a moje płuca napełniły się jodowanym tlenem.

Nagle bez uprzedzenia coś mnie pociągnęło do tyłu i przewróciło. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Listonosza Pata, który lizał mnie po twarzy. Próbowalam wstać, utyłana w piasku, kiedy nagle pies czmychnął, usłyszawszy gwizd.

Uniosłam głowę. W oddali maszerował Edward. Musiał przejść obok mnie, jed-

nak nie przystanął, żeby się przywitać. Byłam pewna, że mnie rozpoznał, poza tym obowiązkowo powinien się zatrzymać, gdy jego pies mnie zaatakował. Przynajmniej mógł przeprosić. Byłam zdecydowana powiedzieć, co o nim myślę. Na końcu ścieżki, która prowadziła do domków, zobaczyłam, że Edward pędzi terenówką do wsi. Tak łatwo mi nie umknie.

Wskoczyłam do wozu. Znajdę tego gbura i nauczę go manier. Szybko zlokalizowałam jego brudny samochód, zaparkowany przed pubem. Zahamowałam gwałtownie, wysiadłam i wpadłam jak bomba do pubu. Zaczęłam wodzić wzrokiem po wnętrzu, żeby namierzyć mój cel. Goście przyglądali mi się uważnie, wszyscy poza jednym.

Edward siedział przy barze, sam, pochylony nad gazetą, trzymając w ręku guinnessa. Ruszyłam w jego kierunku, przebijając się przez tłum.

– Za kogo ty się masz?

Zero reakcji.

– Popatrz na mnie, gdy do ciebie mówię.

Edward przewrócił stronę gazety.

– Czy rodzice nie nauczyli cię dobrych manier? Nikt mnie jeszcze tak źle nie potraktował, masz mnie natychmiast przeprosić.

Czułam jak coraz bardziej czerwienię się ze złości, tymczasem Edward nie raczył nawet unieść nosa znad szmatławca, który przeglądał.

– Dość tego! – ryknęłam, wyrywając mu gazetę z ręki.

Edward wypił łyk piwa, odłożył kufel i westchnął głęboko. Zacisnął pięść tak mocno, że wyszła mu żyła. Wstał i wbił we mnie wzrok. Przeszło mi przez myśl, że być może się zagalopowałam. Następnie chwycił leżącą na barze paczkę papierosów i udał się do kącika dla palaczy. Przechodząc, uściśnął dłoń kilku mężczyznom, nie zamieniając z nimi słowa, bez uśmiechu.

Usłyszałam trzask drzwi wejściowych. Od kiedy wstał, wstrzymałam oddech. W pubie zapadła głucha cisza, cała męska społeczność przyglądała się naszej scenie. Osunęłam się na pobliski stół. Przecież prędzej czy później ktoś musi mu dać nauczkę. Barman wzruszył ramionami i zerknął na mnie.

– Poproszę espresso – powiedziałam.

– Nie podajemy tego.

– Nie ma pan kawy?

– Mam. I owszem.

Muszę popracować nad wymową.

– W takim razie poproszę kawę.

Barman uśmiechnął się i powędrował do kąta za barem, po czym postawił przed mną kubek słabej lury. Koniec z moją ulubioną małą czarną przy barze. Nie rozumiałam, dlaczego stoi nieruchomo przede mną.

– Czy będzie pan patrzył, jak piję?

– Chcę, żeby pani zapłaciła.

- Proszę się nie niepokoić, ureguluję rachunek przed wyjściem.
- Tutaj się płaci, zanim się pije. Serwis po angielsku.
- Już dobrze.

Podalam mu banknot, a on z pogodną miną wydał mi resztę.

Ryzykując poparzenie, wypiałam duszkiem kawę i wyszłam. Co za dziwny kraj. Ludzie są grzeczni i gościnni, z wyjątkiem tego prostaka Edwarda, ale w pubie każą płacić przed konsumpcją. W Paryżu z tym czarującym barmanem od razu zrobiono by porządek. Tyle tylko, że we Francji ten sam barman wcale nie byłby sympatyczny, nie zagadywałby do ciebie, a już uśmiechu za nic na świecie by ci nie ofiarował.

Wróciłam do dawnych rytuałów. Przestałam się ubierać, jadłam byle co o najróżniejszych porach. Sypiałam w ciągu dnia. Jeśli sen nie przychodził, leżałam w łóżku pod ciepłą kołdrą, gapiąc się w niebo i na chmury. Przysypiałam przed durnymi programami telewizyjnymi, które zamieniały się w niemy film, gdy emisja była po irlandzku. Rozmawiałam z Klarą i Colinem, wpatrując się w ich zdjęcia. Żyłam dokładnie tak jak w naszym mieszkaniu w Paryżu, tyle że bez Feliksa. Lecz ulga, której tak bardzo oczekiwałam, na którą tak liczyłam, nie nadchodziła. Przygniatał mnie wciąż ten sam ciężar, nie było ani śladu uczucia wyzwolenia. Nie miałam na nic ochoty, nawet na płacz. Wypłakałam wszystkie łzy. Czas mijał i dni wydawały się coraz dłuższe.

Któregoś ranka, zamiast zostać jak zwykle w łóżku, postanowiłam przenieść fotel i ustawić go przodem do plaży. Po wielu dniach, które spędziłam gapiąc się w niebo, postanowiłam rozerwać się i pogapić dla odmiany na morze. Uzupełniłam zapasy kawy i papierosów, owinęłam się pledem i wsunęłam poduszkę pod głowę.

Moje skupienie zakłóciło szczekanie. Mój sąsiad wyszedł na dwór z psem. Zobaczyłam go po raz pierwszy od czasu tamtego zdarzenia. Edward przewiesił przez ramię wielką torbę. Żeby lepiej widzieć, przysunęłam fotel bliżej okna. Szedł w kierunku plaży. Jego szatynowe włosy były w jeszcze większym nieładzie niż ostatnio.

Zniknął mi z pola widzenia, kiedy wszedł za skałę. Po półgodzinie pojawił się ponownie. Postawił na ziemi torbę i czegoś w niej szukał. Musiałabym mieć lornetkę, żeby dokładnie zobaczyć, co robi. Kucnął i widziałam tylko jego plecy. Pozostał w tej pozycji przez długi czas.

Zaburczało mi w brzuchu i uświadomiłam sobie, że nie jadłam nic od wczoraj. Poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę. Kiedy wróciłam do salonu, Edward zniknął. Moje jedyne zajęcie tego dnia dobiegło końca. Usiadłam w fotelu, przeżuwając bez apetytu chleb.

Mijały godziny, a ja wciąż tkwiłam nieruchomo. Nagle dostrzegłam, że w domu sąsiada gaśnie światło. Edward wypadł biegiem i skierował się dokładnie w to samo miejsce, w którym widziałam go rano. Zarzuciłam na ramiona pled i wyszłam na taras, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Zobaczyłam, że trzyma w rękach jakiś przedmiot, chyba aparat fotograficzny.

Edward przebywał na plaży przez dobrą godzinę. Zanim wrócił, zapadła noc. Le-

dwo udało mi się skulić, żeby mnie nie zauważył. Odczekałam kilka minut, weszłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi.

Mój sąsiad był fotografem. Wychodził z domu o różnych porach dnia, zawsze z aparatem. Chodził tam i z powrotem wzdłuż zatoki Mulranny. Pozostawał nieruchomo przez wiele godzin, nie zważając na ulewny deszcz i szalejący wiatr.

Dzięki śledztwu wiele się o nim dowiedziałam. Palił jeszcze więcej niż ja. Praktycznie nie wyjmował papierosa z ust. Jego wygląd tego dnia, kiedy się poznaliśmy, nie był czymś wyjątkowym. Codziennie był niechlujny i rozchełstany. Z nikim nie rozmawiał, nikt go nie odwiedzał. Nigdy nie widziałam, żeby odwrócił głowę w moim kierunku. Wniosek był oczywisty: ten typ to zwykły egocentryk. Nie interesował się niczym i nikim z wyjątkiem własnych zdjęć – wciąż te same fale, ten sam piach. Był przewidywalny i łatwy do zlokalizowania. Przemieszczał się w obrębie kilku skałek.

Pewnego poranka nie spojrzałam przez okno, żeby sprawdzić, czy już tam jest. Czas mijał, nie słyszałam szczekania psa, który zawsze mu towarzyszył i zobaczyłam, że zniknął jego samochód. Nagle pomyślałam o Feliksie. Nie zadzwoniłam do niego od dnia wyjazdu, czyli od półtora miesiąca. Najwyższy czas. Chwyciłam za komórkę i wybrałam numer.

– Feliksie, Diane przy telefonie – powiedziałam, kiedy odebrał telefon.

– Nie znam żadnej Diane.

Po czym się rozłączył. Zadzwoniłam ponownie.

– Nie rozłączaj się.

– Wreszcie przypomniałaś sobie o moim istnieniu?

– Jestem beznadziejna, wiem. Wybacz.

– Kiedy wracasz?

– Nie wracam, zostaję w Irlandii.

– Czy dobrze się bawisz w twoim nowym życiu?

Powiedziałam mu, że właściciele domku są uroczy, że kilka razy byłam u nich na kolacji, że mieszkańcy wioski powitali mnie z otwartymi ramionami, i że regularnie chadzam do pubu. Przerwałam nagle, kiedy usłyszałam dźwięk silnika.

– Diane, jesteś tam? Słyszysz mnie?

– Tak. Poczekaj chwilę.

– Ktoś do ciebie przyszedł?

– Nie, to tylko mój sąsiad. Właśnie wrócił do domu.

– Masz sąsiada?

– Owszem, chociaż mogłabym się spokojnie bez niego obejść.

Opowiedziałam mu o Edwardzie.

– Diane, uspokój się, oddychaj spokojnie.

– Wybacz, ten typ działa mi na nerwy. Co tam u ciebie? Co nowego?

– Bez rewelacji, po staremu. Otwieram Les Gens wczesnym popołudniem, i nie jest źle. Trochę zarabiamy. Zorganizowałem wieczorek o największych hulakach

w historii literatury.

– Żartujesz!

– Zapewniam cię, że jeśli ktoś napisze o mnie powieść, to dostanę nagrodę. Od kiedy wyjechałaś, mam więcej czasu i pławię się w przyjemnościach, spędzam szalone wieczory i noce pełne namiętności. Twoje cnotliwe uszka nie zniosłyby moich opowieści.

Odłożyłam słuchawkę i pomyślałam, że po pierwsze, Feliks nigdy się nie zmieni. Po drugie, tęskniłam za nim, a po trzecie mój sąsiad nie zasługiwał na to, abym się nim zainteresowała. Gwałtownym ruchem zasunęłam zasłony.

Kiedy się otrząsnęłam, próbowałam wrócić do lektury, lecz tego popołudnia nic nie mogło mnie ukoić. Nie byłam pewna, czy winna temu była ponura atmosfera kryminału Arnaldura Indridasona, czy powiew lodowatego powietrza, który czułam na plecach. Ręce zgrabiwały mi z zimna. W domku panowała jeszcze bardziej głucha cisza niż zazwyczaj. Wstałam, rozmasowałam ramiona, i stanęłam przy oknie. Pogoda była okropna. Ciężkie chmury zakrywały niebo, wieszcząc rychły zmierzch. Żałowałam, że nie umiem rozpalić kominka. Położyłam dłoń na kaloryferze – był lodowaty. Umrę z zimna, jeśli padło ogrzewanie. Chciałam włączyć światło, ale lampka odmawiała posłuszeństwa. Próbowałam z innym wyłącznikiem, bez skutku. Nie było prądu. Utonęłam w egipskich ciemnościach. I byłam sama jak palec.

Chociaż wiele mnie to kosztowało, wybiegłam z domu i zaczęłam walić do drzwi Edwarda, aż mnie rozboleła ręka. Spróbowałam zajrzeć do środka przez okno. Jeśli jeszcze przez chwilę będę sama, to oszaleję. Usłyszałam za plecami dziwny dźwięk i zadrżałam z przerażenia.

– Czy mogę wiedzieć, co ty tu robisz? – dobiegł mnie głos zza pleców.

Odwróciłam się gwałtownie. Edward górował nade mną wzrostem. Przesunęłam się, żeby przed nim zwiąć, moje przerażenie sięgnęło irracjonalnego szczytu.

– Pomyliłam się, ja... ja...

– Co takiego?

– Nie powinnam była tu przyjść. Nie chcę ci przeszkadzać.

Nie spuszczając z niego wzroku, wycofywałam się dróżką, którą przyszłam. Wtem zahaczyłam obcasem o kamień, wywinęłam w powietrzu koziołka i wylądowałam tyłkiem w błocie. Edward podszedł do mnie. Chociaż był mocno wkurzony, podał mi dłoń.

– Nie dotykaj mnie.

Mój sąsiad znieruchomiał, słysząc moje słowa, i uniósł brwi.

– Tylko mi potrzeba do szczęścia wariatki z Francji.

Próbowałam wstać z ziemi. Słyszając jego złośliwy śmiech, rzuciłam się do biegu i zabarykadowałam za sobą drzwi. Później schroniłam się w łóżku.

Mimo warstwy pościeli i paru swetrów, wciąż szczękałam zębami. Ścisnęłam w rękę obrączkę. Noc była czarna jak smoła, a ja szalałam ze strachu. Tak szlochałam, że z trudem łapałam oddech. Leżałam mocno skulona, wstrząsana dreszczami,

aż rozbolał mnie kręgosłup. Wbiłam zęby w jasiek, aby nie wyć z rozpacz.

Co chwila się budziłam. Niestety prąd nie wrócił cudownie w nocy. Postanowiłam zadzwonić do jedynej osoby, która mogła mi pomóc.

– Niech cię cholera! Wyobraź sobie, że niektórzy ludzie śpią o tej porze – krzyczał na mnie Feliks, kiedy zadzwoniłam do niego drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Wybacz – wymamrotałam i rozbeczałam się.

– Co się dzieje?

– Zaraz zamarznię. Na dodatek siedzę po ciemku.

– Co takiego?

– Od wczorajszego popołudnia nie mam prądu.

– Nie znasz nikogo, kto mógłby ci pomóc?

– Zajrzałam do sąsiada, ale nie odważyłam się zawracać mu głowy.

– Dlaczego?

– Boję się, że jest seryjnym mordercą.

– Chyba się napaliłaś owczej wełny.

– Nie mam prądu. Pomóż mi.

– Czy sprawdziłaś korki? Może wywaliły?

– Nie wiem.

– To sprawdź.

Posłuchałam się go. Ze słuchawką przy uchu nacisnęłam włącznik. Światło roz-
błysło i usłyszałam szum urządzeń.

– I co? – spytał Feliks.

– W porządku, działa.

– Jesteś pewna, że wszystko gra?

– Tak, śpij dobrze. Przepraszam, że cię obudziłam.

Rozłączyłam się, nie czekając na odpowiedź. Osunęłam się na podłogę. Oto do-
wód, że nie potrafiłam załatwić najprostszej rzeczy bez cudzej pomocy. Rodzice
mówili prawdę. Miałam ochotę wymierzyć sobie klapsa.

Rozdział 4

Nastawiłam tak głośno muzykę, że aż się bałam, że popękają mi bębenki
w uszach. Zdażyłam zapomnieć, jakie to uczucie, i długo się zastanawiałam, czy
włączyć sprzęt grający. Od chwili, kiedy spontanicznie słuchałam muzyki, minęły
całe wieki.

Historia z korkami porządnie mną wstrząsnęła. Postanowiłam wziąć się w garść.
Częściej wychodziłam z domu, spacerowałam po plaży, nie snułam się rankami po
domu w pizamie. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby wrócić do świata ży-
wych i nie utonąć w otchłani rozpacz. Któregoś poranka odkryłam ze zdumieniem,
że mój smutek odrobinę zelżał, a ja zapragnęłam posłuchać muzyki. Oczywiście nie
oznaczało to, że przestałam płakać, euforia nie trwała długo.

Ale następnego dnia spróbowałam tańczyć. Nie mogłam się powstrzymać przed kołysaniem w takt muzyki. Wróciłam do starych nawyków, jak wariatka tańczyłam samotnie w salonie. Jedyna różnica między Paryżem a Mulranny była taka, że nie musiałam zakładać słuchawek na uszy. Oddałam się tańcu z radością w sercu, wsłuchana się w pomruki basów.

– *The dog days are over, the dog days are done. Can you hear the horses? Cause here they come* – śpiewałam razem z Florence and the Machine.

Znałam piosenkę na pamięć, nie umknął mi żaden akord. Wiłam się i skręcałam, wyginałam ciało, czując strużki potu spływające mi po plecach. Kręciłam na wszystkie strony włosami związanymi w koński ogon, policzki mi płonęły. Nagle usłyszałam dziwny dźwięk perkusji, zupełnie poza rytmem. Chociaż ściszyłam muzykę, miarowy stukot nie ustawał. Z pilotem w rękę podeszłam do drzwi, które aż trzeszczały w zawiasach. Policzyłam do trzech, zanim je otworzyłam.

– Witaj, Edwardzie, w czym mogę ci pomóc? – zapytałam mojego sąsiada, słodko się do niego uśmiechając.

– Ścisz do cholery ten jazgot!

– Nie lubisz angielskiego rocka? Twoi bracia...

Edward uderzył pięścią w ścianę.

– Nie jestem Anglikiem.

– To fakt, nie masz ich legendarnej flegmy.

Wciąż szczyrzyłam zęby w uśmiechu. Edward zacisnął dłoń w pięść, zamknął oczy i ciężko westchnął.

– Drażnisz się ze mną – wychrypiał.

– Uwierz mi, że nie. Możesz mi zarzucić wszystko, tylko nie to, że się z tobą drażnię.

– Uważaj!

– Już się ciebie boję.

– Proszę cię tylko o to, abyś ściszyła muzykę. Przez ciebie moja ciemnia drży w posadach. Przeszkadzasz mi w pracy.

Roześmiałam się.

– Naprawdę jesteś fotografem?

– A co ci do tego?

– Nic. I tak pewnie jesteś do chrzanu.

Gdybym była mężczyzną, chybaby mnie uderzył.

– Fotografia jest sztuką, która wymaga minimum wrażliwości, a ty jesteś jej całkowicie pozbawiony. Ergo, nie zostałeś stworzony, żeby wykonywać ten zawód. Cóż, miło się gawędziło... nie, oczywiście, żartuję. Teraz wybac mi, mam ciekawsze rzeczy do roboty.

Patrząc mu bezczelnie w oczy, wyciągnęłam dłoń z pilotem w kierunku sprzętu i jeszcze głośniejsze nastawiłam muzykę.

– *Happiness hit her like a bullet in the head. Struck from a great height by some-*

one who should know better than that. The dog days are over, the dog days are done – darłam się, wykręcając ciało przed Edwardem, i zatrzasnęłam mu przed nosem drzwi.

Tańczyłam i śpiewałam ile sił w płucach. Nie posiadałam się z radości, że wreszcie zamknęłam mu dziób. Nagle poczułam, że mam ochotę dłużej zabawić się jego kosztem i dokończyć rozpoczęte dzieło. Postanowiłam doszczętnie zepsuć mu dzień. Byłam pewna, że jest typem faceta, który musi się napić, aby ukoić skołatane nerwy.

Tym razem wkroczyłam do pubu w cywilizowany sposób. Z uśmiechem na ustach powitałam zgromadzonych gości uniesieniem ręki. Zamówiłam kieliszek czerwonego wina i natychmiast za nie zapłaciłam. Wreszcie usiadłam w bezpiecznej odległości od mojego sąsiada.

Edward był jeszcze bardziej nabzdyczony niż zwykle. Rzeczywiście nadepnęłam mu na odcisk. Zacisnął mocno szczękę i bawił się zapalniczką. Jednym duszkiem wypił piwo, po czym skinął dłonią i zamówił następne. Wbił we mnie wzrok. Uniosłam w jego kierunku kieliszek i upiłam łyk. Z trudnością powstrzymałam się, żeby nie wypluć wina, jeśli w ogóle zasługiwało na tę nazwę. Naprawdę nie nadawało się do picia. Z drugiej strony trudno przypuszczać, że jakieś ścieki w plastikowej butelce dostaną rekomendację kiperka. Co mi przyszło do głowy? Że znajdę dobry rocznik na końcu świata w tej irlandzkiej dziurze, gdzie się pija wyłącznie guinnessa i whisky? Mimo to wciąż patrzyłam wyzywająco na Edwarda.

Nasza walka na miny trwała chyba ze trzydzieści minut. Wygrałam, kiedy wreszcie Edward się podniósł i ruszył do wyjścia. Odniosłam małe zwycięstwo tego dnia. Wygrałam bitwę.

Po kilku minutach wyszłam z pubu. Zapadła noc. Podniosłam kołnierz płaszcza, był koniec października i czuło się w powietrzu nadchodzącą zimą.

– Tak myślałem – usłyszałam ochryply głos.

Edward czekał na mnie przy samochodzie. Jego opanowanie zbiło z tropu.

– Sądziłam, że pojechałeś do domu. Nie musisz czasem wywołać jakichś zdjęć?

– Przez ciebie zepsułem cały film, więc nie wspominaj mi o pracy. Co ty możesz o tym wiedzieć?

Nie pozwalając mi dojść do słowa, Edward ciągnął:

– Nie muszę cię lepiej znać, żeby wiedzieć, że obijasz się przez całe dni. Czy ty nie masz rodziny, znajomych, bądź przyjaciół, którzy nie mogą się doczekać twojego powrotu?

Wpadłam w taki popłoch, że zaczęłam bełkotać. Znowu był górą.

– Jasne, że nie. Kto by cię chciał? Nie ma w tobie nic interesującego. Pewnie miałaś kogoś, ale umarł przy tobie z nudów...

Bez namysłu wyciągnęłam dłoń i uderzyłam go z taką siłą, że Edward odrzucił głowę w bok. Następnie potarł policzek i uniósł w górę kąciaki ust.

– Czyżbym dotknął czulej struny?

Oddychałam ciężko, a z oczu trysnęły mi łzy.

– Rozumiem. Nie chciał ciebie. Miał rację, że cię zostawił.

– Odsuń się – zażądałam, bo przez niego nie mogłam dojść do swojego samochodu.

Mężczyzna chwycił mnie za ramię i zajrzał w oczy.

– Nie waż się więcej tak zachowywać. I kup sobie wreszcie bilet na samolot.

Następnie brutalnie mnie puścił i rozpląnął się w czarnej nocy. Otarłam dłonią łzy. Drżałam tak bardzo, że upuściłam na ziemię kluczyki. Mocowałam się z klamką, kiedy Edward ruszył jak wariat. Być może to nie morderca, ale z pewnością jest niebezpieczny dla otoczenia.

Siedziałam na podłodze. Do pokoju zaglądało delikatne światło. Dopijałam pierwszą butelkę wina. Zanim zgasłam papierosa, odpaliłam od niego kolejnego. W końcu chwyciłam za telefon.

– Feliksie, to ja.

– Co słychać w krainie baranów?

– Nie daję rady, jestem na dnie.

– Co ty chrzaniasz?

– Przysięgam, że się starałam, zmuszałam się, ale nie mogę już. Nic mi nie wychodzi.

– To minie – Feliks rzekł łagodnie. – Wszystko się ułoży.

– Nieprawda! Nigdy nie minie. Nic się nie ułoży. Nie ma już nic, wszystko straciło sens.

– To oczywiste, że dzisiaj okropnie się czujesz. Urodziny Klary ożywiły w tobie wspomnienia.

– Pójdiesz do niej jutro?

– Tak, opiekuję się nią... Wracaj do domu.

– Dobranoc.

Zataczając się, weszłam do kuchni. Zrezygnowałam z wina. Dolałam do rumu sok pomarańczowy. Trzymając w jednej dłoni szklanekę, a w drugiej butelkę, poszłam się położyć. Zaczynało świtać, a ja nadal piłam, paliłam i płakałam.

Słońce dawno wzeszło, gdy żołądek podszedł mi do gardła. Pobiegnęłam do toalety nie dbając o to, co przewrócę po drodze, wstrząsana gwałtownymi spazmami. Po niekończących się torsjach, z trudem dowlokłam się pod prysznic. Nie zadałam sobie nawet trudu, żeby się rozebrać. Usiadłam pod strumieniem wody, podkuliłam nogi, i kołysząc się, szlochałam cicho. Gorąca woda zamieniła się w ciepłą, zimną, wreszcie w lodowaty strumień.

Porzuciłam mokre ubrania na zimnej kamiennej posadzce w łazience. Wcale nie czułam się lepiej po włożeniu czystej i suchej bielizny. Nawet bluza Colina niewiele pomogła. Dusiałam się. Włożyłam na głowę kaptur i wyszłam na dwór.

Nie wiem, jak udało mi się dotrzeć na plażę. Położyłam się na piasku i wpatrywałam się we wzburzone fale. Deszcz chłostał moją twarz, smagał mnie wiatr i piasek.

Marzyłam o tym, żeby zasnąć i więcej się nie obudzić. Nie dbałam o to, gdzie jestem. Moje miejsce było przy Klarze i Colinie. Znalazłam ten zakątek, żeby się z nimi połączyć. Zawiesiłam się między jawą a snem i powoli traciłam przytomność. Moje ciało sztywniało, zapadałam się w sobie. Wokół robiło się coraz bardziej ponuro i ciemno, burza pomagała mi odejść. Nagle usłyszałam szczekanie psa. Poczulałam jak mnie obwąchuje, trąca łagodnie nosem, czekając na moją reakcję. Oddalił się, kiedy usłyszał gwizd. Mogłam kontynuować moją podróż w niebyt.

– Co ty tu robisz?

Przeraziłam się, rozpoznając zachrypnięty głos Edwarda. Jeszcze bardziej skuliłam się w sobie, zacisnęłam powieki i zakryłam twarz ramieniem, jakbym się chciała osłonić przed ciosem.

– Daj mi spokój – wykrztusiłam.

Kiedy poczułam na moim ciele jego dłonie, przeszył mnie dreszcz. Zaczęłam go kopać i okładać pięściami.

– Puść mnie!

Udało mi się wyrwać z jego objęć. Chciałam stanąć, lecz nie mogłam utrzymać równowagi; byłam zupełnie bez sił. Prawie upadłam, ale Edward pochwycił mnie w ramiona.

– Zamknij się i postaraj się uspokoić.

Nie było sensu walczyć z nim, mimowolnie chwyciłam go za szyję. Jego ciało chroniło mnie i osłaniało przed napastliwym wiatrem. Deszcz ustępował, cichł, byliśmy pod dachem. Edward wszedł po schodach, otworzył łokciem drzwi, zaniósł mnie do sypialni i położył na łóżku. Trzymałam nisko opuszczoną głowę. Spojrzałam na niego ukradkiem. Rzucił kurtkę w kąt pokoju, zniknął, po czym zjawił się z ręcznikiem wokół szyi i z drugim w rękę. Pochylił się nade mną, wytarł moje czoło i policzki. Miał duże dłonie. Zdjął mi kaptur i rozwiązał włosy.

– Zdejmij sweter.

– Nie – odrzekłam stanowczo, potrząsając głową.

– Nie masz nic do gadania. Zachorujesz, jeśli się nie rozbierzesz.

– Nie mam siły.

Coraz bardziej dygotałam z zimna. Edward pochylił się nade mną, zdjął mi botki i skarpetki.

– Wstawaj.

Żeby się unieść, chwyciłam się poręczy łóżka. Edward pomógł mi zdjąć bluzę, a gdy się zachwiałam chwycił mnie w pasie i przytrzymał. Rozpiął mi dzinsy i zaczął je ściągać, podtrzymując mnie, abym mogła je zrzucić. Czułam na plecach jego dłonie, gdy zdejmował mi koszulkę, i zawstydziałam się. Zakryłam piersi. Edward podszedł do szafy po koszulkę, którą pomógł mi nałożyć. W tej chwili powróciły wspomnienia i zalałam się łzami. Edward zapiął mi guziki i wsunął obrączkę pod materiał.

– Postaraj się zasnąć.

Położyłam się, a on okrył mnie kołdrą i odsunął kosmyk włosów z czoła. Myśląc, że sobie poszedł, zaczęłam nierówno oddychać i zanosłam się płaczem, ale otworzywszy oczy, zobaczyłam, że ciągle tu jest. Dotknął dłonią mojej twarzy i odszedł. Wyjęłam spod koszuli obrączkę i ścisnęłam ją w dłoni, a potem ułożyłam się w pozycji embrionalnej i wtuliłam głowę w jasiek. Wreszcie zapadłam w sen.

Mimo że za żadne skarby nie chciałam się obudzić, moje zmysły odżywały. Powoli otwierałam oczy. Ściany pokoju nie były szare, tylko białe. Dotknęłam szafki nocnej chcąc zapalić lampkę, ale moja dłoń natrafiła na pustkę. Kiedy usiadłam gwałtownie, ból niemal rozsadził mi czaszkę. Pocierając skronie, ujrzałam w myśli przyspieszony film z wczorajszego dnia. Natomiast co do wydarzeń w nocy, miałam w głowie pustkę.

Niepewnie zrobiłam kilka kroków, przyłożyłam ucho do drzwi. Na korytarzu panowała cisza. Może uda mi się ulotnić, nim Edward się zorientuje, że zniknęłam? Najlżej jak się dało, podeszłam na palcach do schodów, aby stamtąd uciec. Wtedy usłyszałam chrząknięcie i znieruchomiałam. Za mną stał Edward. Zaczerpnęłam tchu, odwróciłam się i spojrzałam na niego. Zmierzył mnie wzrokiem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nagle uzmysłowiłam sobie, w co byłam ubrana. W jego koszulę, którą próbowałam ciągnąć w dół, żeby zakryć nogi.

– Twoje rzeczy są w łazience, pewnie zdążyły wyschnąć.

– Gdzie jest łazienka?

– Drugie drzwi na końcu korytarza. Tylko nie otwieraj sąsiednich drzwi.

Edward zszedł ze schodów, nim zdążyłam cokolwiek dodać. Oczywiście rozbudził moją ciekawość, zakazując mi wejścia do pokoju. Postanowiłam jednak nie kuśić losu i poszłam po ubrania. Łazienka typowa dla starego kawalera, myślałam, buszując po niej: porozrzucane ręczniki, płyn pod prysznic, szczoteczka do zębów oraz niewielkie lustro. Moje rzeczy były na wieszaku na ręczniki. Wyszły. Z ulgą zdjęłam z siebie koszulę gospodarza. Trzymałam ją przez chwilę w dłoni, nie wiedząc, co z nią począć. Zauważyłam kosz na brudną bieliznę. Spałam już w jego łóżku, ale nie miałam ochoty oglądać jego brudnych gaci. Powiesiłam koszulę na stojącym wieszaku. Spryskałam twarz wodą i od razu poczułam się lepiej, miałam wrażenie, że myślę jaśniej. Wytarłam twarz rękawem od bluzy. Wreszcie byłam gotowa stawić czoło Edwardowi, a nawet odpowiedzieć na jego pytania.

Stałam na progu salonu, kołysząc się na piętach. Pat podbiegł do mnie i zaczął się łąsić. Pogłaskałam psa, żeby opóźnić rozmowę z jego panem, który stał tyłem za kuchennym blatem.

– Kawy? – zapytał oschle.

– Poproszę – odparłam, podchodząc bliżej.

– Jesteś głodna?

– Zjem później, wystarczy kawa.

Edward nałożył mi coś na talerz i postawił na blacie. Zapach jajecznicy sprawił, że pociekła mi ślinka. Spojrzałam na niego z podejrzliwością.

– Siadaj i jedz.

Niewiele myśląc, posłuchałam go. Konałam z głodu, a jego ton nie zachęcał do sprzeczki. Edward przyglądał mi się z uwagą, stojąc z kubkiem w dłoni i z papierosem w ustach. Uniosłam widelec do ust, szeroko otwierając oczy. Bez dwóch zdań, to była zaiste wykwinna jajecznicza. Co jakiś czas podnosiłam znad talerza wzrok, nie potrafiąc odgadnąć, o czym Edward myśli, ani dłużej znieść jego spojrzenia. Rozejrzałam się wokoło. Nasunął mi się oczywisty wniosek, że mieszka w chlewie. Wszędzie wałały się materiały fotograficzne, kolorowe czasopisma, książki, stosy ubrań, popielniczki z niedopałkami. Nagle paczka papierosów zderzyła się z moim kubkiem.

– Chyba masz ochotę zapalić – powiedział Edward.

– Dzięki.

Zeskoczyłam ze stołka, zabrałam swoją porcję nikotyny i podeszłam do okna.

– Edwardzie, muszę ci się wytłumaczyć z tego, co się wydarzyło wczoraj.

– Daruj sobie. Każdemu bym pomógł w takiej sytuacji.

– Jest inaczej, niż myślisz. Nie mam zwyczaju robić z siebie widowiska. Zależy mi, żebyś o tym wiedział.

– Nie obchodzi mnie, co cię do tego pchnęło.

Podszedł do drzwi i je otworzył. Ten cham mnie wyrzucał. Po raz ostatni pogłaskałam psa, który wciąż się do mnie łąsił, a potem wyszłam na ganek. Stałam twarzą w twarz z Edwardem i zajrzałam mu w oczy. Czy można być aż tak okrutnym?

– Do zobaczenia – rzucił.

– Gdybyś czegoś potrzebował, daj znać.

– Niczego nie potrzebuję.

Po czym zatrzasnął mi przed nosem drzwi. Długo stałam nieruchomo. Co za duppek.

Postanowiłam zrobić porządki wiosenne. Jeśli chodzi o zalewanie robaka i o kaca, nie miało znaczenia, czy jestem we Francji, czy w Irlandii. Efekt był taki sam.

Feliks kapitalnie wcielił się w rolę mojego psychoterapeuty. Wysłuchiwał mnie godzinami przez telefon. Udało mi się przejść przez kolejny kryzys i nie umrzeć. Postanowiłam podjąć kolejną próbę, żeby wyzdrowieć.

Właśnie głowiłam się, jak to osiągnąć, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Ze zdumieniem ujrzałam na progu mojego sąsiada. Bogowie chyba sprzysięgli się przeciwko mnie. Nie widziałam go od tygodnia, od kiedy wyszłam z jego domu, i dobrze mi z tym było.

– Dzień dobry – rzekł Edward powściągliwie.

– Witaj, Edwardzie.

– Jestem zmuszony o coś cię poprosić. Czy zaopiekujesz się Patem?

– Zdaje się, że zwykle zostawiasz go pod opieką Abby i Jacka?

– Wyjeżdżam na dłużej, nie może u nich zostać.

- Co rozumiesz przez dłużej?
- Dwa tygodnie, może więcej.
- Kiedy masz zamiar mi go zostawić?
- Teraz.

Ależ miał tupet! Nawet nie wyłączył silnika. Co miałam zrobić? Przyłożył mi nóż do gardła. Już miałam coś powiedzieć, kiedy Edward uśmiechnął się krzywo i oświadczył:

- Nieważne. Zapomnij, że cię poprosiłem.
- Możesz mi dać chwilę na zastanowienie?
- Nad czym się tu zastanawiać? Nad opieką nad Patem?
- Skoro tak grzecznie mnie prosisz... dobrze, przyprowadź go.

Edward poszedł otworzyć bagażnik, z którego wyskoczył Listonosz Pat. Był bardziej serdeczny od jego pana. Powitał mnie z taką radością, że wbrew samej sobie uśmiechnęłam się.

- To ja spadam – rzekł Edward.
- Po czym usiadł za kierownicą.
- Chwila moment, gdzie jest jego smycz?
 - Nie ma. Jeśli na niego zagwizdziesz, przybiegnie do ciebie.
 - To wszystko?

Edward zamknął drzwiczki i ruszył jak burza przed siebie. Wciąż był dupkiem. I nabawił się okropnego nawyku zatrzaskiwania mi drzwi przed nosem.

Już od trzech tygodni niańczyłam Edwardowi psa. Całe trzy tygodnie! Mój sąsiad zakpił sobie ze mnie w żywe oczy. Na szczęście piesek był sympatyczny. Właściwie mogłam go nazwać moim najlepszym przyjacielem, jedynym w tej dziurze. Wszędzie za mną chodził, spał ze mną. Kiedy zaczęłam z nim rozmawiać, przeraziłam się na dobre. Chyba postradałam zmysły! Wkrótce stanę się wioskową psią mamą. Chociaż ten pies tak naprawdę miał w sobie cechy jednocześnie osła i niedźwiedzia. Szalona mieszanka.

Odkryłam radość z faktu posiadania czworonożnego towarzysza. Wszystko mi się w nim podobało, poza momentami, kiedy ode mnie uciekał podczas naszych wędrowek po plaży. Próbowałam na niego gwizdać – z opłakanym skutkiem. Jednak dzisiaj niepokoiłam się bardziej niż zwykle. Pat zniknął na dłużej niż kiedykolwiek.

Pot spływał mi po plecach od biegania za nim po plaży. Wyplułam z siebie płuca. Z pochyloną głową i z dłońmi na kolanach próbowałam złapać oddech, kiedy nagle usłyszałam jego ujadanie. Biegł w moją stronę w towarzystwie nieznanym kobiecie. Uniosłam dłoń do czapki. Kiedy się do mnie zbliżyła, wiedziałam, że nie mogłabym przejść obok niej i jej nie zauważyć. Była mniej więcej w moim wieku. Miała na sobie szkocką spódniczkę mini i glany. Z pewnością nabawi się zapalenia płuc, cienka skórzana kurteczka z ledwością zakrywała ogromny dekolt. Jej twarz okalała burza pokręconych kasztanowych włosów. Zanim do mnie doszła, chwyciła

patyk i rzuciła go daleko przed siebie.

– Spadaj, kundlu! – zawołała, śmiejąc się.

Kobieta zbliżała się do mnie z uśmiechem na twarzy.

– Cześć, Diane – rzuciła na powitanie, zanim mnie uściskała.

– Dzień dobry – odparłam zmieszana.

– Kiedy się dowiedziałam, że opiekujesz się Patem, przyszłam sprawdzić, czy nie przysparza ci kłopotów.

– Daję radę, chyba że mi ucieka.

– Nie przejmuj się, dawno straciłam rachubę, ile razy skończyłam z twarzą w piachu podczas pościgu za nim. Słucha się wyłącznie Edwarda. Z drugiej strony, kto miałby ochotę zadzierać z moim bratem?

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Nie byłam pewna, czy dobrze ją zrozumiałam. Potok słów, który z siebie wylała, był zaiste imponujący.

– Edward jest twoim bratem?

– Tak. Wybacz, nie przedstawiłam się. Mam na imię Judith. Jestem jego młodszą siostrą.

– Nazywam się Diane, ale to już wiesz.

– Okej. Zaprosisz mnie na drinka?

Wzięła mnie pod rękę i zawróciłyśmy w stronę mojego domku. Nie mogłam uwierzyć, że Judith jest siostrą Edwarda, ich rodzice nie mogli spłodzić dwojga tak różnych od siebie dzieci. Jedyne, co ich łączyło, to kolor oczu. Oczy Judith miały dokładnie taki sam odcień jak oczy Edwarda, błękitno-zielony.

Wpuściłam ją do środka. Judith rzuciła się na kanapę i położyła nogi na stole.

– Masz ochotę na kawę czy herbatę?

– Jesteś Francuzką, więc masz pewnie butelkę dobrego wina. Jest pora na aperitif.

Pięć minut później trąciłyśmy się kieliszkami.

– Diane, trudno mi uwierzyć, że jesteś taką dzikuską jak mój brat. Dlaczego tu zamieszkałaś? Wiem, że jest tu pięknie, ale co to za pomysł?

– Tak samo dobry jak każdy inny, zamieszkać samotnie nad morzem. A ty gdzie mieszkasz?

– Nad pubem w Dublinie. Musisz mnie koniecznie odwiedzić.

– Może kiedyś.

– Na jak długo przyjechałaś? Nie pracujesz?

– Na razie nie. A ty?

– Wzięłam kilka dni wolnego, a pracuję w logistyce. Praca nie jest pasjonująca, ale dzięki niej mogę opłacić czynsz i rachunki.

Nie zamykała jej się buzia. Judith była gadułą. Nagle skoczyła na równe nogi, jakby giez ją ugryzł.

– Muszę lecieć. Abby i Jack na mnie czekają.

Ruszyła do wyjścia.

– Poczekaj. Zapomniałaś fajek.

– Zostaw je sobie, to z przemytu, mam układy w porcie. – Puściła do mnie oko.

– Chyba nie pójdziesz na piechotę, jest już ciemno. Podwieźć cię?

– Żartujesz? Trochę poćwiczę uda. Do jutra!

Zgodnie z obietnicą Judith przyszła następnego dnia. I następnego. Od trzech dni wpraszała się w moją przestrzeń życiową. O dziwo, jej obecność mnie nie tłamsiła. Rozśmieszała mnie. Była urodzoną prowokatorką. Ubierała się w sposób podkreślający jej godne włoskiej aktorki kształty. Klęła jak szewc, kiedy tylko otwierała buzię; istna mieszanka wybuchowa. Opowiadała mi fantastyczne i tajemnicze historie miłosne. Z jednej strony niczego się nie bała i była pewna siebie, z drugiej dawała wiarę pierwszemu lepszeemu gogusiowi, którego spotkała na swojej drodze. Wystarczyło, żeby jakiś lowelas ją podrywał, a już Judith traciła dla niego rozum.

Tego wieczoru została na kolacji. Jadła i piła za czterech.

– Sami swoi, prawda? Pozwolisz? – spytała, rozpinając guzik od dzinsów.

Poszłam otworzyć drzwi psu, który domagał się wieczornego spaceru.

– Czemu akurat tobie mój brat powierzył swojego kundla?

– Byłam mu winna przysługę.

Judith zerknęła na mnie podejrzliwie. Nie podnosząc się, ułożyłam się na kanapie, podkurczając nogi.

– Czy Edward zawsze był taki? – zapytałam bez ogródek.

– Co rozumiesz przez słowo „taki”? – powtórzyła, robiąc w powietrzu znak cudysłowu.

– Grubiański, dziki, małomówny.

– O to ci chodzi. Tak. Od dziecka ćwicz swój cholerny charakter.

– Miło to słyszeć. Żal mi waszych rodziców.

– Abby nic ci nie powiedziała? Ona i Jack nas wychowali. Moja mama zmarła przy moim porodzie, kiedy Edward miał sześć lat. Ojciec nie chciał się nami zająć i oddał nas wujowi i ciotce.

– Bardzo mi przykro...

– Nie ma powodu. Miałam cudownych rodziców, niczego mi nie brakowało. Nie usłyszysz ode mnie skargi, że czuję się sierotą.

– Nigdy nie mieszkałaś z ojcem?

– Spędziliśmy u niego trochę czasu, kiedy wreszcie raczył nas wziąć, ale to było piekło na ziemi. Z winy Edwarda.

– Nie cieszył się, że go widzi?

– Nie. Uważa, że rodzice nas porzucili. Zawsze miał żal do losu. Mimo podziwu, który żywił dla ojca, natychmiast między nimi iskrzyło, kiedy tylko znaleźli się w jednym pomieszczeniu.

– To znaczy?

– Edward był podobny do niego jak dwie krople wody. I dlatego dochodziło między nimi do awantur. Ciągłe na siebie wrzeszczeli.

- A ty byłaś między młotem i kowadłem?
- Tak. Możesz sobie wyobrazić, jaka panowała atmosfera.
- Czy wciąż się kłóć?
- Tata nie żyje.
- O...
- Tak, sporo tego.

Judith zaśmiała się lekko, zapaliła papierosa i przez jakiś czas patrzyła na morze. Po czym dodała:

– Do końca brali się za łby, ale kiedy ojciec zachorował, Edward trwał przy jego boku. Godzinami przesiadywał przy jego łóżku. Wierzę, że na koniec się pogodzili. Nie wiem, co sobie wyznali. Edward nie chce o tym mówić, zapewnia mnie tylko, że ojciec odszedł w spokoju.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Szesnaście, a Edward dwadzieścia dwa. Wtedy oświadczył, że jest głową rodziny i że zarobi na moje utrzymanie. Abby i Jack byli bezradni. Edward wziął mnie od nich i zamieszkaliśmy razem.

– Jak mu się udało wiązać koniec z końcem?

– Nie mam pojęcia. Studiował, pracował i opiekował się mną. Z czasem nałożył na siebie pancerz, żeby osłonić się przed światem.

– Nie ma przyjaciół?

– Kilku, mocno przebranych. To prawie niemożliwe, żeby komuś zaufał. Jest przekonany, że zostanie zdradzony albo porzucony. Nauczył mnie, jak być samodzielną, jak dawać sobie radę i na nikogo nie liczyć. Zawsze mnie chronił i w mojej obronie nigdy nie wahał się przyłożyć facetom zbyt przedsiębiorczym jak na jego gust.

– Jest agresywny?

– Raczej nie, ale potrafi wdać się w bójkę, kiedy ktoś go wkurzy.

– Zdaje się, że ja go wkurzyłam – mruknęłam pod nosem.

Judith spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

– Chyba się go nie boisz?

– Sama nie wiem, jest bardzo nieprzyjemny wobec mnie.

Judith wybuchnęła śmiechem.

– Jasne, twój przyjazd nie był mu na rękę, ale nie martw się. Edward ma swoje zasady. Między innymi nigdy nie podniesie ręki na kobietę. Raczej należy do tych, którzy przybędą niewieście z pomocą.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że mówisz o moim sąsiedzie.

Nazajutrz Judith wracała do Dublina. Przyszła, żeby po raz ostatni pospacerować ze mną i z Patem. Usiadłyśmy na piasku. Jak zwykle próbowała dowiedzieć się czegoś więcej o mnie.

– Coś przed mną ukrywasz. Co tu robisz? Jestem zła, że ani Abby, ani mnie nie udało się nic z ciebie wyciągnąć.

– Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Nie mam żadnych tajemnic. Wiodę nudne, nieciekawe życie.

Wstałam poszukać Pata. Znowu straciłam go z pola widzenia. Pobiegłam w kierunku ścieżki prowadzącej do domków. Zawsze się bałam, że wpadnie pod samochód, albo co gorsza, nadjedzie Edward i odkryje, że jego pies szwenda się samopas.

Chwyciłam go za obrozę i pociągnęłam na plażę. W tym momencie przed domki zajechała terenówka Edwarda. Żeby mu pokazać, jaką władzę dzierzę nad jego psem, trzymałam zwierzę z całych sił, dopóki jego pan do nas nie podszedł. Pat przywitał pana z radością, a Edward utkwiał we mnie spojrzenie. Mierzyliśmy się wzrokiem, a pies ganiał pomiędzy nami.

Nagle usłyszeliśmy przenikliwy krzyk. W naszą stronę biegła Judith. Kiedy rzuciła się na brata, miałam wrażenie, że dostrzegam cień uśmiechu na jego twarzy. Wreszcie go puściła, chwyciła za brodę i przyjrzała mu się bacznie, marszcząc brwi.

– Ale stroisz miny!

– Przestań.

Edward wyrwał się z jej objęć i odwrócił się w moją stronę.

– Dziękuję za opiekę nad psem.

– Nie ma za co.

Judith klasnęła w dłonie, mierząc nas wzrokiem.

– Niech was gęś kopnie. Co za rozmowa! Edwardzie, wykrztusiłeś z siebie więcej niż dwa słowa. A z kolei ty, Diane, zazwyczaj masz więcej do powiedzenia.

Wzruszyłam ramionami.

– Judith, wystarczy – zaprotestował zrzędliwie Edward. – Spokój – rzucił do kręcącego się psa. – Abby i Jack na nas czekają.

– Chwileczką, chcę się pożegnać z moją nową koleżanką.

Edward wznosił oczy do nieba i odszedł, a Judith mnie uściskała.

– Wracam za dwa tygodnie na święta. Wpadnę do ciebie, a ty mi wszystko opowiesz.

– Wątpię.

Odwzajemniłam się jej uściskiem. Ta dziewczyna miała na mnie dobry wpływ. Zostałam na plaży i patrzyłam na nich. Judith szła w podskokach obok brata, szczęśliwa, że są razem. On na swój sposób również wydawał się zadowolony.

Rozdział 5

Od ponad tygodnia nie miałam wieści od Feliksa. To już był szczyt. Postanowiłam do niego zadzwonić. Po trzech próbach odebrał wreszcie telefon.

– Diane, nie wiem, w co włożyć ręce.

– Chyba możesz się ze mną przywitać.

– Gadaj, o co chodzi. Mam mnóstwo pracy.

– Co robisz w święta?

– Twoi starzy powiedzieli, że nie przyjeżdżasz. Zaprosili mnie do siebie, ale odmówiłem. Zapewne poddali by mnie swoim egzorcyzmom. Zamiast tego wezmę udział w święcie kąpielówek na Mykonos.

– Ach tak? To fantastycznie.

– Zadzwoń do ciebie po powrocie.

Wyłączył się. Przez chwilę trzymałam telefon przy uchu. Coraz lepiej. Co z oczu, to z serca. Nie dziwiłam się, że rodzice nie namawiali mnie na przyjazd. Ich owdowiała i nieszczęśliwa córka stanowiłaby przykry zgrzyt podczas uroczystej kolacji. Jednak ciężko było mi znieść fakt, że i Feliks mnie porzucił.

Salon tonął w promieniach zimowego słońca, chyba po raz pierwszy, odkąd tu zamieszkałam, ale nie miałam ochoty wyjść na dwór. Myśl o świętach pograżyła mnie w rozpacz. Dopiero słysząc walenie do drzwi, odkleiłam się od fotela i poszłam otworzyć. Na progu stała Judith przebrana za skrzata Świętego Mikołaja, w wersji sexy. Rzuciła mi się na szyję.

– Co robisz sama w taki czas? Wkładaj rękawiczki, idziemy.

– To miło z twojej strony, ale nie.

– Myślisz, że masz wybór? – spytała, popychając mnie w stronę wieszaka.

Włożyła mi na głowę czapkę, chwyciła klucze i zamknęła wejściowe drzwi.

Następnie okropnie fałszując, odśpiewała cały repertuar kolęd. Na przekór sobie, uśmiełam się. Judith osiągnęła to, co wydawało się niemożliwe. Zmusiła mnie do przejścia piechotą całą zatokę i Mulranny, aby odwiedzić Jacka i Abby.

– To my. Jesteśmy! – krzyknęła, wchodząc do domku.

Poszłam za nią do salonu. Judith głośno ucałowała ciotkę i wuja w policzki.

– Diane, ogromnie się cieszę, że cię widzę! – Abby wyściskała mnie gorąco.

Jack posłał mi szeroki uśmiech i poklepał po ramieniu. Brakowało tylko opowiadania Karola Dickensa, aby dopełnić baśni o Bożym Narodzeniu. Choinka sięgała sufitu, na gzymsie kominka stały kartki z życzeniami, na niskim stoliku leżały pierniczki, migotały lampki, a w tle rozbrzmiewała na nowo zmiksowana wersja Jingle Bells. Niczego nie brakowało do szczęścia. Już po kilku minutach odprężyłam się dzięki Abby i Judith. Zmusiły mnie, żebym usiadła. Judith podała mi filiżankę herbaty, Abby tacę z herbatnikami, ciastem marchewkowym i piernikiem.

– Chyba chcą cię utuczyć – zaśmiał się Jack, potrząsając głową.

Przez dwie godziny brałam udział w bożonarodzeniowym przedstawieniu. Judith siedziała na ziemi. Pakowała prezenty, które po kolei układała pod choinką. Abby dziergała na drutach skarpetę dla Świętego Mikołaja. Ja natomiast zupełnie nie potrafiłam wczuć się w świąteczną atmosferę. Wszystkie te pozytywne emocje były już nie dla mnie. W zamierzchłej przeszłości pierwsza włożyłabym na głowę spiczastą czapkę i zaczęła rzucać serpentynami. Zrobiłabym to dla Klary.

– Miej się na baczności – ostrzegł mnie Jack. – Wygląda na to, że namawiają się przeciwko tobie.

– Cicho bądź – skarciła go Abby. – Za dwa dni są święta. Nie wracasz do Francji?

– Nie.

Uśmiech, którym ozdobiłam twarz od chwili wejścia do ich domku, powoli zniknął.

– W takim razie wpadnij do nas. Spędzisz je z nami. Będziemy w swoim gronie.

W swoim gronie. Czy ten typ Edward też tu będzie? Chociażby po to, żeby wpadł w furję w Wigilię, miałam ochotę skorzystać z ich zaproszenia.

– Zgódź się. Nie chcę, abyś była sama w święta.

Już chciałam coś powiedzieć, kiedy usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi. Judith zerwała się z podłogi i pobiegła do wejścia. Usłyszałam odgłosy stłumionej rozmowy.

– Wejdz i zachowuj się kulturalnie – rzekła stanowczo.

Nie zdziwiłam się, widząc za jej plecami Edwarda. Judith nie usiadła na podłodze, tylko stanęła za Abby, objęła ją za szyję, oparła podbródek o jej ramię i zerknęła na mnie z uśmiechem.

– Przywitaj się – rozkazała bratu, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Nie chcąc się roześmiać, uniosłam głowę w kierunku Edwarda. Zapewniony zimny prysznic. Mężczyzna rzucił mi harde spojrzenie.

– Dobry wieczór – burknął.

– Witaj.

Edward zrobił kilka kroków w głąb pokoju, uścisnął dłoń Jacka i stanął przy kominku. Odwrócił się tyłem do mnie i gapił się w płomień.

– Skoro już wymieniliście grzeczności, to wróćmy do naszej rozmowy – oznajmiła Judith.

– Mówimy poważnie, zapraszamy cię na święta – ciągnęła Abby.

Edward odwrócił się gwałtownie.

– Co to za pomysł? Nie jesteśmy Armią Zbawienia.

Wyprężył się sztywno jak struna. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym zobaczyła, jak puszcza uszami dym.

– Długo jeszcze zamierzasz robić z siebie idiotę? – zapytała go siostra. – Zaprosiliśmy Diane. Nie masz tu nic do gadania. Jeśli ci się nie podoba, to obejdziemy się bez ciebie.

Za chwilę wybuchnie awantura między bratem a siostrą. Dwa koguciki chwycą się za łby. Chyba po raz pierwszy Edward nie wydał mi się groźniejszym zawodnikiem. Wspaniale było widzieć, jak robi się malutki przed siostrą, lecz to ja chciałam mieć ostatnie słowo i skończyć ten temat.

– Chwileczkę. Mam tu chyba coś do powiedzenia. Dziękuję za zaproszenie, ale nie przyjdę, nie obchodzę świąt.

– Przecież...

– Nie nalegaj.

– To ty decydujesz – wtrącił się Jack. – Gdybyś jednak zmieniła zdanie, nasze

drzwi stoją dla ciebie otworem.

– Bardzo dziękuję. Pójdę już, zrobiło się późno.

– Zjedź z nami kolację – poprosiła Abby.

– Nie, dziękuję. Nie wstawajcie, wiem gdzie są drzwi.

Judith milczała. Abby znowu mnie przytuliła. Zauważyłam, jak obrzuciła bratan-ka spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Pocałowałam Jacka w policzek, a on puścił do mnie oko. Na koniec stanęłam przed Edwardem, który zmierzył mnie wzrokiem.

– Dziękuję – mruknęłam do niego tak, żeby nikt nie usłyszał. – Oddałeś mi przy-
sługę. Wreszcie zrobiłeś coś dobrego.

– Spadaj – warknął przez zęby.

– Do widzenia – rzekłam głośno.

Edward milczał. Po raz ostatni pomachałam wszystkim na pożegnanie. Judith stanęła przy drzwiach i patrzyła, jak wkładam płaszcz.

– Dlaczego uciekasz?

– Chcę wrócić do siebie.

– Wpadnę do ciebie w święta.

– Nie. Wolę zostać sama. A ty powinnaś być z rodziną.

– Czy to z powodu mojego brata kretyna?

– Nie, on nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu muszę już iść. Miłego wieczoru. Nie martw się o mnie. – Uściskałam ją serdecznie.

Kompletnie zapomniałam, że przyszedłam do Abby i Jacka na piechotę. Potwornie lało, zapadała noc. Wsunęłam ręce do kieszeni i szłam, starając się nie myśleć. Na dźwięk klaksonu stanęłam jak wryta i odwróciłam się. Oślepiły mnie światła. Zdumiałam się jeszcze bardziej, kiedy samochód Edwarda zrównał się ze mną. Edward odkręcił szybę.

– Wsiadaj.

– Poczujesz ducha święt? A może jesteś chory?

– Skorzystaj z darmowej podwózki. To się nie powtórzy.

– W końcu możesz się na coś przydać.

Wsiadłam do samochodu, w którym panował taki sam bałagan jak w jego domu. Żeby jakoś usiąść, musiałam przesunąć trudno identyfikowalne obiekty spod stóp. Na desce rozdzielczej walały się paczki po papierosach oraz gazety, zużyte kubki po kawie niemal wysypywały się ze schowków w drzwiach. To prawda, że paliłam jak smok, ale zatechły smród tytoniu w samochodzie Edwarda przyprawiał mnie o mdłości.

– Czemu nie wróciłaś do Francji?

– Nie czuję się tam u siebie – bez zastanowienia pospieszyłam się z odpowiedzią.

– Tu też nie jesteś u siebie.

– Chwila moment, czy chciałeś mnie podwieźć, żeby mi o tym przypomnieć? Żeby mnie znowu obrazić?

– Jedyne, która mnie interesuje, jeśli chodzi o ciebie, to data twojego wylo-

tu.

– Zatrzymaj ten cholerny samochód!

Edward zahamował gwałtownie. Chciałam jak najszybciej wysiąść, ale nie mogłam rozpiąć pasa.

– Pomóc ci?

– Zamknij się! – wrzasnęłam.

Wreszcie udało mi się wyplątać z pasa i chociaż raz to ja zatrzęsnęłam mu drzwi przed nosem. Nawet jeśli były to tylko drzwi od samochodu.

– Wesołych świąt – rzucił na pożegnanie, odkręcając szybę.

Nie zaszczyliłam go spojrzeniem i ruszyłam przed siebie. Jego samochód wjechał w kałużę i ochlapał mnie od stóp do głów. Mentalnie Edward był dwunastolatkiem, ale znowu wygrał. Nie dość, że działał mi na nerwy, to jeszcze odebrał mi resztkę sił.

Dygotałam na całym ciele, kiedy w końcu dotarłam do domu i zabarykadowałam za sobą drzwi.

Dwudziestego szóstego grudnia, o jedenastej rano usłyszałam stukanie do drzwi. To była Judith. Przesunęła mnie na bok, żeby wejść do środka.

– Święta, święta i po świętach!

Poszła do kuchni zrobić kawę, po czym weszła do salonu i padła na kanapę.

– Naprawdę jesteś bardzo dziwna – oświadczyła. – Ale chcę cię o coś poprosić.

– Słucham.

– Co roku organizuję sylwestra.

Zbladłam. Wstałam i zapaliłam papierosa.

– Właściciel pubu zna mnie od dziecka. Nie może więc mi odmówić. Wiesz, że w Mulranny mieszkają sami staruszkowie, którym nie w głowie ozdoby, kotyliony i świętowanie. Tak więc przejmuję pub na jedną noc, i robię, co mi się żywnie podoba. Spędziłam tam niezapomniane chwile.

– Wyobrażam sobie.

– Zawsze kiedy schodzą się moi kumple, idziemy na całość. Nie wylewamy za kołnierz, śpiewamy, tańczymy na stołach... A w tym roku będziemy gościć Francuzkę.

– Ach tak? A więc w Mulranny są dwie Francuzki?

– Daj spokój. Nie obchodzisz świąt, twoja sprawa. Nie ty jedna masz problem ze zjazdami rodzinnymi. Ale sylwester to wieczór ze znajomymi i przyjaciółmi, po to, żeby się zabawić. Nie odmawiaj mi.

– Za dużo ode mnie wymagasz.

– Dlaczego?

– Nieważne.

– Okej. Chcę, żebyś przyszła na imprezę, tylko oszczędź nam muzeum horroru.

Uniosłam brwi.

– Nie wkładaj dresowych spodni do jogi i tej niechlujnej bluzy.

Na swój sposób potrafiła być równie wkurzająca jak jej brat. Odetchnęłam głęboko i zamknęłam oczy, zanim odpowiedziałam.

– Dobrze, przyjdę. Ale nie zabawię długo.

– Tylko tak myślisz. Świetnie. Mam do załatwienia kilka spraw.

Judith wypadła na dwór, a ja opadłam na fotel i ukryłam twarz w dłoniach.

Udało mi się przekonać Judith, że dam sobie bez niej radę. Wciąż pamiętałam, jak się ubrać i podejrzewałam, że gust mojej koleżanki pozostawiał wiele do życzenia.

Zadumałam się, patrząc na swoje odbicie w lusterku. Miałam wrażenie, że się za kogoś przebrałam, a jednak, to byłam ja. Wniosek był prosty: postarzałam się. Pojawiły się zmarszczki, zauważyłam też pierwsze siwe włosy. Potem pomyślałam o Colinie i postanowiłam zamaskować ślady mojego smutku makijażem. Pomalowałam powieki, nałożyłam na rzęsy grubą warstwę tuszu i podkreśliłam dla niego oczy. Pod wpływem impulsu związałam włosy w luźny kok. Kilka kosmyków opadło mi na kark. Colin lubił się nimi bawić. Ubrałam się na czarno. Włożyłam spodnie, bluzkę bez pleców i pantofle. Jediną biżuterią była obrączka, która zniknęła między moimi piersiami.

Stałam przed pubem. Na parkingu było mnóstwo samochodów, impreza trwała w najlepsze. Za chwilę znajdę się w tłumie nieznanym i będę musiała z nimi rozmawiać i uśmiechać się do nich. Wydawało mi się to ponad moje siły.

Pchnęłam drzwi, biorąc głęboki oddech. Zdumiała mnie fala gorąca. W pubie było tłoczno, ludzie śpiewali, tańczyli, śmiali się w rytm Sweet Home Alabama. Nie miałam wątpliwości, że Irlandczycy umieli się dobrze zabawić. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Z łatwością namierzyłam Judith, bo niepodobna było przeoczyć jej lwiej grzywy, spodni z czarnej skóry i czerwonego gorsetu. Przecisnęłam się do niej i poklepałam delikatnie w plecy. Odwróciła się i zrobiła zakłopotaną minę.

– Diane, czy to na pewno ty?

– Tak, wariatko.

– Miałam nosa, podejrzewając, że kryjesz w sobie femme fatale. Tylko mnie nie wkurzaj, i nie ukradnij mi wszystkich facetów.

– Daj spokój, bo jak nie, to sobie pójdę.

– Mowy nie ma, skoro przyszaś, to zostaniesz.

– Mówiłam ci, że jak wybije północ, to zniknę jak Kopciuszek.

Judith ulotniła się nagle i wróciła z kieliszkiem w dłoni.

– Najpierw wypij, a potem pogadamy.

Następnie wciągnęła mnie w wir prezentacji. Poznałam czarujących, roześmianych, chętnych do zabawy ludzi. Panowała rozluźniona, przyjacielska atmosfera. Kieliszki z alkoholem, które podawano mi po drodze, pozwoliły mi się rozluźnić.

Z uśmiechem dopchałam się wreszcie do baru. Mój kieliszek zbyt długo był pu-

sty, a skoro przyjdzie mi tu powitać nowy rok, postanowiłam nie oszczędzać na alkoholu. Ktoś usiadł obok mnie, ale nie zainteresowałam się tym, rozkoszując się koktajlem. Poziom alkoholu w mojej krwi sięgnął niebezpiecznego pułapu, ale poziom whisky we krwi mojego towarzysza przy barze osiągnął chyba szczyt tsunami. Znałam te dłonie, już je gdzieś widziałam. Z niepokojem podniosłam głowę. Edward, opierając się łokciami o bar, popijał ze swojej szklanki. Patrzył tak ostro, że miałam uczucie, jakby mnie badał za pomocą wykrywacza metali.

– Moja siostra znowu się wygłupiła – rzekł, krzywiąc się. – Zawsze ją fascynowały bezpieczeństwa psy.

– Ile osób zamierzasz dzisiaj dręczyć?

– Tylko ciebie. Tu są sami moi przyjaciele.

– Kto by się chciał z tobą przyjaźnić?

Odwróciłam się na pięcie. Wieczór zapowiadał się gorzej, niż przypuszczałam.

Jednym uchem słuchałam rozmów z Judith, która nie odstępowała mnie na krok, zapewne obawiając się, że czmychnę. W pewnym momencie moją uwagę przykuła opalona łysa czaszka mężczyzny z kartonową czapeczką na jej czubku. Zaczęłam się do niego przedzierać, i szturchając ludzi łokciami, torowałam sobie do niego drogę.

– Feliks!

Odwrócił się i podbiegł do mnie. Wpadłam w jego ramiona, a on podrzucił mnie do góry. Śmiałam się i płakałam, wtulając się w jego szyję. Feliks mnie wyściskał, a jego miażdżące pieszczoty były warte wszystkich sińców, jakie zostawią na moim ciele.

– Kiedy dostałem twoją wiadomość, nie potrafiłem się oprzeć.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś. Stęskniłam się za tobą.

Mój przyjaciel postawił mnie na ziemi i pogłaskał moją twarz.

– A nie mówiłem, że nie będziesz umiała się beze mnie obejść?

Przekrzywiłam mu czapeczkę. Znowu mnie przytulił.

– Tak się cieszę, że cię widzę.

– Na jak długo przyjechałeś?

– Wyjeżdżam jutro wieczorem.

Objęłam go w pasie.

– Gdzie tu się można napić?

Wzięłam go za rękę i pociągnęłam do baru. Feliks wypił duszkiem pierwszy kieliszek i nalał sobie drugi. Uznał, że musi nadrobić zaległości. Nie zapomniał nalać i mnie.

– Postanowiłaś wziąć byka za rogi. Do twarzy ci z samodzielnością.

– Gram w tę grę wyłącznie z powodu dzisiejszego wieczoru, i z powodu Judith.

– Pokaż mi ją.

– Nie musicie mnie szukać. Jestem tutaj.

Odwróciłam się do niej z uśmiechem.

– Mogłaś mi powiedzieć, że odwiedzi cię twój facet – rzekła nadąsana.

– Mój kto?

– No, facet, chłopak...

– Daj spokój, to tylko Feliks...

– Wielkie dzięki za „tylko” – przerwał Feliks.

– Oj, uspokój się. Judith, przedstawiam ci mojego najlepszego przyjaciela.

Judith spojrzała na mnie badawczo. Wyprężyła bujną pierś i wspięła się na obcasach, żeby złożyć pocałunek na policzku Feliksa.

– Diane dobrze zrobiła, że cię zaprosiła – rzekła. – Świeże mięsko, podoba mi się, i to bardzo... i jeszcze bardziej.

Judith przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się bardzo uważnie. Feliks spełniał wszystkie kryteria, które nieodmiennie wciągały ją w zasadzkę: skórzana kurtka, koszulka z tak głębokim dekoltem, że sięgał mu niemalże do pępka, ogolona czaszka.

– Ogromnie się cieszę, że mogę cię poznać – Feliks posłał jej czarujący uśmiech.

– Ja także. Liczę na to, że Diane zechce się tobą podzielić.

Dyskretnie kopnęłam przyjaciela w kostkę, który okazał się nie dość, że uwodzicielem, to na dodatek narcyzem.

– Bez obawy, mamy całą noc, żeby się dobrze poznać. Jednak muszę ci coś wyznać.

– Zamieniam się w słuch – oświadczyła Judith, trzepocząc zalotnie rzęsami.

– Do niczego między nami nie dojdzie.

– O, jeszcze nikt mnie tak szybko nie spławił. Jedzie mi z ust? Mam coś między zębami?

– Nie. Za to nie masz nic między nogami.

Wzniosłam oczy ku niebu. Judith wybuchnęła śmiechem.

– Aha. Więc przynajmniej pomóż mi zatrzymać ją do rana – Judith pokazała na mnie podbródkiem.

– Wiem dokładnie, jak sprawić, żeby została.

I Feliks podał mi kieliszek wódki. Poczułam ogień w gardle, ale nie dbałam o to. Wiedziałam, że przy nich dwojgu na karku nie będę sobie odmawiać.

Bardzo szybko wybiła północ. Wszyscy odliczali do dwunastu, z wyjątkiem mnie i Feliksa. Stanęliśmy z boku i chwyciliśmy się za ręce. Kiedy ludzie wpadli w euforię, oparłam głowę na ramieniu przyjaciela.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Diane.

– Wzajemnie, chodź. Poszukajmy Judith.

Pociągnęłam Feliksa za sobą i natychmiast odnalazłam ją wzrokiem pośród tłumu.

– Czemu stanęłaś? – zdziwił się Feliks, wpadając na mnie.

– Judith jest w towarzystwie swojego diabolicznego brata.

– Niezły z niego gość.

- Co ty opowiadasz. Nie masz pojęcia, kim on jest. To jest właśnie mój sąsiad.
- Czemu mi nie powiedziałaś, że krajobraz jest tu taki ekscytujący? Już dawno temu bym cię odwiedził.
- Nie pleć bzdur. Trudno. Podejdziemy do niej później.
- Pozwól, że spróbuję szczęścia.

Odwrociłam się do niego. Jego oczy błyszczały. Edward naprawdę mu się spodobał.

- Kompletnie oszalałeś.
- Skądże znowu, ale zastanów się. Mógłbym ujarzmić bestię i szepnąć mu na uszko, żeby był dla ciebie miłutki i łagodnie się z tobą obchodził.
- Nie pleć bzdur. Poproś mnie lepiej do tańca.

Rzuciłam się w szatański rockowy wir z Feliksem i zwariowane układy taneczne z Judith. Tańczyliśmy do ognistych remake'ów przebojów irlandzkich bogów, U2. Imprezowicze popadli w istny trans, kiedy w pubie rozległ się głos Bono. W przerwie między piosenkami gasiłam pragnienie wysokowymi napojami. Raz na jakiś czas wychodziłam na taras zaczerpnąć tchu.

W pewnej chwili, z papierosem w ustach i z kieliszkiem w dłoni, wypatrzyłam przy oknie Judith i Feliksa. Feliks robił jej wykład na temat rytmicznego rocka i desynchronizacji w przeboju *Sex on Fire*, zespołu Kings of Leon. Można skończyć ze śmiechu. Nagle na taras wkroczył Edward i stanął tuż przy mnie, zasłaniając mi widok swoim ciałem.

- Nawet nie można w spokoju zapalić – stwierdziłam.
 - Powiedz swojemu pajacowi, żeby dał spokój mojej siostrze.
 - Nie wygląda, żeby Judith się na coś uskarżała.
 - Niech się od niej odwali, bo jak nie, to się z nim rozprawię.
- Wyprostowałam się i podeszłam do niego. Wycelowałam w jego tors palec, a w moim mniemaniu był to gest równie groźny jak jego słowa.
- Twoja siostra nie potrzebuje, byś bronił jej honoru. To ty się raczej miej na baczności, gdy chodzi o Feliksa. Może się okazać, że jesteś w jego typie, a udało mu się namówić na pójście do łóżka facetów, którzy byli bardziej hetero niż ty.

Edward chwycił moje nadgarstki i gwałtownie popchnął mnie w kierunku balustrady, przycisnął mnie do niej, wzmagając uścisk na nadgarstkach.

- Nie igraj ze mną.
- Bo co? Uderzysz mnie?
- Właśnie się zastanawiam.
- Puść mnie i to już.

Po raz ostatni zaciągnęłam się, puściłam w jego stronę dym i rzuciłam mu niedopałek pod nogi. Dopiero gdy wróciłam do środka, uświadomiłam sobie, jak bardzo osłabłam.

- Zdaje się, że między tobą i twoim sąsiadem iskrzy – zauważył Feliks, pojawiając się przy moim boku.

– Próbowalam nagrać ci randkę.

Poprosiłam, aby przyniósł mi drinka. Musiałam się napić.

Mijały godziny. Tyle samo alkoholu krążyło w żyłach, co było porozlewane po podłodze. W powietrzu unosił się zapach spoconych ciał. Nie czułam nóg, tak szalałam na parkiecie. Nie mogłam uwierzyć, że dobrze się bawiłam, że było mi lekko na duszy. Tyle że mój stan upojenia alkoholowego zaczął dawać mi się we znaki. Traciłam równowagę, wzrok mi się mącił, zbyt głośno się śmiałam, wyzbyłam się wszelkich zahamowań i zaśpiewałam moją bardzo osobistą wersję *I love Rock'n'Roll*; niestety nigdy nie miałam talentu Joan Jett. Wreszcie podeszłam do Feliksa

i Judith, którzy uzupełniali płyny przy barze.

– Wracam do domu, nie mam już siły.

– Wypiję strzemiennego i też spadam. Zobaczymy się u ciebie w domu – odparł Feliks.

– Na pewno chcesz już iść? – zapytała Judith.

– Tak, spektakl dobiegł końca. Kurtyna opadła. Przedstawienie skończone. Dziękuję ci za ten wieczór, nie wierzyłam, że potrafię się jeszcze dobrze bawić – odparłam, tuląc ją mocno w ramionach.

Idąc do wyjścia, grzebałam w torbie w poszukiwaniu kluczyków, kiedy na kogoś wpadłam.

– Przepraszam.

– Zawsze stajesz mi na drodze – usłyszałam głos Edwarda.

– Zjeżdżaj. Wracam do domu.

Odepchnęłam go i wyszłam na świeże powietrze. Wiatr mnie chłostał podmuchami, jednak nie pomagał mi wytrzeźwieć.

Jechałam do domu w żółtym tempie. Na szczęście zostały mi nikłe ślady refleksu. Resztką przytomności czułam, że się wlokę, całkowicie przyklejona do kierownicy – syndrom niedowidzącej staruszki. Nagle zdekoncentrował mnie samochód, który jechał za mną. Kierowca mrugał światłami. Kiedy wykazałam dobrą wolę i zwolniłam, błyskawicznie zareagował, zmienił pas i zajechał mi drogę. Rozpoznałam samochód Edwarda. Skoro prosi się o wojnę, to będzie ją miał.

Zaparkowałam pod domem, zaciągnęłam hamulec ręczny i podbiegłam do niego.

– W tej chwili otwieraj! – ryknęłam waląc w drzwi. – Wyłaż i to już.

Krażyłam wokół jego domu, potwornie krzycząc. Przestałam nad sobą panować. Zbierałam z ziemi kamyki i rzucałam nimi w drzwi i w szyby.

– Całkiem ci odbiło! – krzyknął Edward, stając w progu.

– To ty jesteś stuknięty. Kretyn z ciebie, a nie kierowca. Wreszcie się porachujemy.

– Lepiej się wyśpij.

– Jestem gorsza od pijawki. Im bardziej będziesz nalegał, żebym sobie poszła, tym bardziej mam chęć tu zostać.

– Powinienem być cię zostawić na plaży, żebyś tam zgniła.
– W ogóle nie wiesz, o czym mówisz! – Zaczęłam okładać go pięściami.
Biłam go i próbowałam podrapać. Bronił się ospale, zaledwie osłaniając się przede mną rękoma.

– Uspokój się! – usłyszałam za plecami głos Feliksa.
Chwycił mnie w tali, uniósł do góry i oderwał od Edwarda. Wymachiwałam rękoma, uderzając w próżnię.

– Puść mnie, wypruję mu flaki.

– Nie warto – odpowiedział, mocno trzymając mnie w tali.

Machałam nogami, żeby kopnąć go szpiczastymi czubkami pantofli.

– Uważaj na klejnoty rodzinne, dupku – grzmiałam.

– Trzeba ją odizolować. Zamknąć! – huknął Edward. – To psychopatka.

– Stul pysk!

Replika Feliksa spowodowała, że przestałam się ciskać. Edward natomiast wydawał się zmieszany i gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. Wreszcie potrząsnął głową.

– Jedno warte drugiego – wymamrotał, szykując się, żeby wrócić do domu.

– Stój, jeszcze z tobą nie skończyłem – powiedział Feliks.

Postawił mnie na ziemi i ujął moją twarz w obie dłonie.

– Obiecuj, że wrócisz do siebie i nie ruszysz się z domu, zgoda?

– Nie.

– Zajmę się wszystkim. Połóż się do łóżka i spróbuj zasnąć. Zobaczymy się jutro. Zaufaj mi, wszystko będzie dobrze.

Pocałował mnie w czoło i lekko popchnął. Szłam, zataczając się, odwracałam się co dwa kroki. Feliks i Edward stali jak przymurowani. Nie słyszałam, żeby się do siebie zbliżyli.

Kiedy weszłam do domu, doczołgałam się do łóżka i wsunęłam pod kołdrę. Pomimo niepokoju o Feliksa, byłam kompletnie wyczerpana i wyprana z sił. Napięcie, alkohol i zmęczenie zwały mnie z nóg.

Rozdział 6

Przy najmniejszym ruchu czułam straszny ból głowy. Z trudem próbowałam otworzyć oczy. Szczypały. Usta miałam jak z gliny. Mięśnie bolały. Zanim postawiłam stopy na podłodze, już wiedziałam, że dzień będzie się niemiłosiernie włóknął. To mnie oduczy szaleństw. Rozsunęłam zasłony, aby się do reszty rozbudzić. Czyj był ten samochód zaparkowany przed moim domem? Miałam wrażenie, że nie pamiętam zbyt wielu szczegółów poprzedniego dnia. Zejście po schodach sprawiło mi ogromny ból. Miałam kaca giganta. Dzięki pierwszemu zastrzykowi kofeiny moje oczy odzyskały zdolność widzenia. Kiedy na kanapie zobaczyłam czyjeś ciało, oprzytomniałam.

Feliks.

Jego ramię i noga zwisały poza kanapę. Nie zdążył się rozebrać i chrapał jak niedźwiedź. Nie mogłam dostrzec jego twarzy.

– Obudź się – powiedziałam, potrząsając nim.

– Cicho bądź. Chce mi się spać.

– Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

– Mam wrażenie, że przejechał po mnie walec.

Feliks usiadł z pochyloną głową i rozcierał czaszkę.

– Feliksie, spójrz na mnie.

Kiedy mój przyjaciel uniósł głowę, zobaczyłam pęknięty łuk brwiowy, a jego piękne oko miało czarną obwódkę. Znowu padł na kanapę i złapał się za bok, krzywiąc się z bólu. Podeszłam bliżej i zadarłam mu koszulkę. Na jego ciele rozlał się wielki siniak.

– Co on ci zrobił?

Feliks zeskoczył rażno z kanapy i podbiegł do lustra.

– Nie jest źle. Wciąż jestem piękny.

Pogłaskał się po twarzy, napiął mięśnie i uśmiechnął do swego odbicia.

– Będę się mógł pochwalić, kiedy wrócę do Paryża.

– To nie jest zabawne. Ten typ jest niebezpieczny. Miałeś szczęście.

Feliks zbył mnie machnięciem ręki i znowu padł na kanapę, lekko sycząc z bólu. Był nieźle poobijany, biedny głupek.

– Jednak następnym razem, gdy udasz się na wygnanie, wybierz krainę Pigmejów. Cholera, bez dwóch zdań ten gość jest Irlandczykiem z krwi i kości. Chyba stawiał pierwsze kroki na boisku do gry w rugby. Kiedy mnie rzucił na ziemię, byłem pewien, że biorę udział w Pucharze Sześciu Narodów...

– Jednym słowem, nieźle się ubawiłeś, wdając się w bójkę z tym przygłupem.

– Przysięgam ci, że byłem na boisku z oszalałym tłumem.

– A oni rzucali tobą jak tą jajowatą piłką. Wszystko pięknie ładnie, ale czy chociaż udało ci się mu przyłożyć?

– Wahałem się, nie chciałem poharatać jego ślicznej buźki.

– Robisz sobie ze mnie jaja!

– Tak i nie. Ale wierz mi, że broniłem twojego honoru. Przyłożyłem mu lewym sierpowym, nie będzie się mógł całować.

– Na pewno?

– Zalał się krwią, a jego wargi tak spuchły, że zrobiły się dwa razy większe. Przybij piątkę.

Odańczyłam taniec zwycięstwa.

Pod prysznicem wciąż się śmiałam na myśl o wyczynach Feliksa. Cały czas nawijał podczas śniadania, opowiadał co słyhać w Paryżu, o zlikwidowaniu mojego mieszkania. Moi rodzice i teściowie wszystkim się zajęli. Następnie przedstawił mi bilans Les Gens. Przychody utknęły w martwym punkcie, prędzej czy później będę musiała się zmierzyć z tą sprawą.

Otuliłam się szlafrokiem, myśląc o tym, jak bardzo nie mam ochoty wracać do Francji. Kiedy zerknęłam na siebie w lustrze, zaniepokoił mnie pewien szczegół. Nie miałam nic na szyi.

– Feliksie!

– Co takiego? – krzyknął Feliks, wbiegając pędem po schodach.

– Zgubiłam obrączkę!

Rozpłakałam się.

– O czym ty mówisz?

– Wczoraj wieczorem miałam na szyi łańcuszek.

– Nie martw się, znajdziemy go. Pewnie spadł ci w pubie. Ubieraj się.

Po dziesięciu minutach byliśmy w drodze. Niestety pub był zamknięty. Pokazałam Feliksowi, jak dojechać do Abby i Jacka. Judith miała klucz.

Kiedy ja waliłam w drzwi, Feliks przeszukiwał samochód.

– Co za miła niespodzianka – przywitała mnie Abby, otwierając drzwi.

– Dzień dobry, Abby. Chcę porozmawiać z Judith, to pilne.

– Właśnie się położyła. Może ja mogę ci w czymś pomóc?

– Muszę się dostać do pubu, zgubiłam coś wczoraj – powiedziałam i rozpłakałam się.

– Kochanie, co się stało?

– Błagam, pomóż mi.

Feliks tulił mnie w swych objęciach, kiedy Abby, Jack i Judith dotarli na miejsce. Judith podbiegła do nas, ale to Feliks przykuł jej uwagę.

– Co ci się stało? – Dotknęła jego oka. – Jack, opatrz go.

– To nic takiego. Robiłem salta z twoim bratem.

– Co robiłeś z Edwardem?

– *Secret boy*, mogę ci tylko powiedzieć, że w ruch poszły mięśnie. Ale mniejsza z tym, zajmij się Diane.

– Skoro tak mówisz... Dobrze, teraz ty – rzekła Judith, otwierając drzwi. – Mam nadzieję, że to coś ważnego, bo i tak wszystko z ciebie wyciągnę.

– To bardzo ważne.

Wparowałam do środka i zamarłam na kilka sekund.

– Zdażyliście już posprzątać?

– Tak. Wieczorem będzie otwarty. Zdażyłam zasnąć, kiedy Abby zerwała mnie z łóżka. Co właściwie zgubiłaś?

– Biżuterię.

Zacząłam przeszukiwać podłogę.

– To żadna tragedia, kupisz sobie nową.

– Nie.

Podniosłam głos, wstając gwałtownie z ziemi. Judith cofnęła się.

– Judith nie jest niczemu winna – Feliks próbował mnie uspokoić. – Chodź, pomogę ci.

Zaczęliśmy szukać w różnych miejscach pubu. Szukałam obrączki na kolanach, macając parkiet w nadziei, że moje palce natrafią na łańcuszek.

– Diane – rzekła łagodnie Abby, klękając przy mnie – popatrz na mnie.

Położyła mi dłonie na ramionach.

– Nie mam czasu.

– Powiedz nam, czego szukasz, będziemy mogli ci pomóc.

– Zgubiłam obrączkę. Miałam ją na szyi, na łańcuszku.

– Jesteś mężatką? – spytała Judith.

Słowa uwięzły mi w gardle.

– Pozwólmy Diane szukać – zdecydowała Abby.

Zamknęłam się w sobie. Nie słyszałam, co się wokół dzieje, nie dochodziły mnie żadne dźwięki. Na kolanach przestawiałam stoliki i taborety, grzebałam w szczelinach między deskami, sprawdzając, czy łańcuszek nie utkwił między listwami.

– Gdzie są kosze na śmieci? – zapytałam, unosząc się z kolan.

– Już do nich zaglądałem. Nie znalazłem jej – odpowiedział Feliks.

– Na pewno musiałeś ją przeoczyć.

Padłam na ziemię, chwyciłam się za brzuch i rozplakałam się. Feliks chwycił mnie w ramiona i zaczął kołysać. Okładałam go pięściami.

– Uspokój się... uspokój się.

– To niemożliwe. Nie mogłam jej zgubić.

– Tak bardzo mi przykro.

– Może to dobry moment, żeby zamknąć ten rozdział – wtrąciła się Judith. – Nie wiem, ale jeśli mąż cię zostawił...

– On mnie nie zostawił!

Feliks ścisnął mocno moją dłoń. Oddychałam ciężko i znowu przytuliłam się do niego. Bezpieczna w jego ramionach odwróciłam się do Judith.

– Colin nie... Colin nie żyje.

– Wyrzuc to z siebie – szeptał mi do ucha Feliks.

– Klara... nasza córka... odeszła razem z nim.

Judith uniosła dłoń do ust. Feliks pomógł mi wstać. Patrzyłam prosto na Abby i Jacka, ale nie widziałam ich.

– Znajdę twoją obrączkę – przyrzekła Judith.

Abby i Jack tylko mnie przytulili. Opuściłam ręce wzdłuż ciała, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Feliks pomógł mi dojść do samochodu, zapiął mój pas i ruszył w stronę domu.

Następnie kazał mi iść do łóżka, połknąć aspirynę. Położył się obok mnie i objął ramionami. Straciłam poczucie czasu. Nie czułam nic poza pustką.

– Muszę jechać, bo spóźnię się na samolot. Może pojedziesz ze mną?

– Nie. Zostanę tutaj.

– Jak tylko dojadę do domu, zadzwonię do ciebie.

Odwróciłam się do niego plecami. Feliks pocałował mnie na pożegnanie. Leża-

łam nieruchomo, słuchając jego oddalających się kroków. Cicho zamknął za sobą drzwi. Usłyszałam odjeżdżający samochód. Zostałam sama. A Colin i Klara umarli po raz drugi.

Przesiedziałam trzy dni w fotelu, trzymając w dłoniach zdjęcia Colina i Klary. Judith wpadła przed wyjazdem do Dublina, żeby się pożegnać. Nie znalazła obrączki.

Kiedy znowu usłyszałam pukanie, z trudem powłóczyłam nogami, żeby dojść do drzwi. W progu stał Edward.

– Jesteś ostatnią osobą na świecie, którą mam ochotę zobaczyć – oznajmiłam, chcąc natychmiast zamknąć przed nim drzwi.

– Poczekaj – rzekł Edward, przytrzymując je pięścią.

– Czego chcesz?

– Chcę ci ją oddać. Znalazłem przed domem, musiała ci upaść tamtej nocy. Trzymaj.

Stałam wrośnięta w ziemię, nie spuszczać wzroku z obrączki. Drżąc na całym ciele, wyciągnęłam dłoń i zalałam się łzami. Edward delikatnie puścił łańcuszek, kiedy podstawiłam dłoń. Rzuciłam się ze szlochem w jego ramiona. Pozostał niewzruszony.

– Dziękuję... dziękuję... nie wyobrażasz sobie nawet...

I nagle puściło całe napięcie, które nagromadziło się we mnie w ostatnim czasie. Uchwyciłam się Edwarda niczym koła ratunkowego. Kiedy już wylałam na niego morze łez, poczułam na głowie jego dłoń. Ten prosty, uspokajający ludzki gest uzmysłowił mi, kto trzyma mnie w ramionach.

– Wybacz – powiedziałam, wyswobadzając się delikatnie z uścisku.

– Załóż łańcuszek na szyję.

Tak bardzo trzęsły mi się ręce, że nie byłam w stanie go zapiąć.

– Pomogę ci.

Edward wziął ode mnie łańcuszek, rozpiął go i objął dłońmi moją szyję. Natychmiast poszukałam dłonią obrączki i mocno ją ścisnęłam. Edward zrobił krok do tyłu i przez kilka sekund patrzyliśmy sobie w oczy.

– Pójdę już – powiedział wreszcie, dotykając dłonią policzka.

– Może się czegoś napijesz?

– Nie. Mam sporo pracy. Następnym razem.

Nim zdążyłam coś odpowiedzieć, zniknął.

Odwiedziłam Jacka i Abby żeby im podziękować, że pomogli mi szukać obrączki. Oboje zachowali się taktownie i nie zadawali żadnych pytań. Jednak Judith nie dała się tak łatwo zbyć przez telefon. Nie rozumiała, dlaczego jej wcześniej o wszystkim nie opowiedziałam, czułam, że nie umie poskromić ciekawości. Ja z kolei nie potrafiłam wykrzesać z siebie odwagi i odpowiednio podziękować mojemu sąsiadowi.

Pewnego dnia poszłam na spacer po plaży zaczerpnąć świeżego powietrza. Usia-

dłam na piasku i po chwili ujrzałam obok siebie Pata. Przybiegł do mnie, domagając się pieśczoć i ułożył się przy moich nogach. Pojawił się w odpowiednim momencie, bo zaczęło się robić zimno, i ogrzewał mnie swoim ciałem.

– Hej piesku, może mógłbyś mi pomóc? Nie wiem, co mam powiedzieć twojemu panu. Po raz drugi uratował mi życie i nie chcę okazać się niewdzięcznicą. Masz może jakiś pomysł?

Pat położył łeb na przednich łapach i zamknął ślepie.

– Jesteś tak samo małomówny jak on, co?

– Dzień dobry – usłyszałam za sobą zachrypnięty głos.

Od jak dawna Edward stał za moimi plecami?

– Dzień dobry.

– Jeśli ci przeszkadza, odpędź go.

– Wręcz przeciwnie.

Edward uśmiechał się kącikami ust. Byłam pewna, że usłyszał monolog, który wygłosiłam do jego psa. Przykucnął i postawił na ziemi torbę, z której wyjął aparat fotograficzny. Zapalił papierosa i bez słowa podał mi paczkę. Wzięłam papierosa i zebrałam się na odwagę.

– Chcę ci podziękować.

– Daj spokój.

– Nie. Chciałabym coś dla ciebie zrobić. Co zechcesz.

– Jesteś uparta. Ale skoro nalegasz, możesz postawić mi wieczorem piwo.

Po czym wstał z ziemi i poszedł w stronę morza.

– Do zobaczenia w pubie – rzucił na pożegnanie, jak gdyby nigdy nic.

Od kwadransa tkwiłam przed pubem. Edward był już w środku, a ja nie mogłam się zmusić, żeby wysiąść z samochodu. Zgodziłam się wypić piwo z moim zagorzałym wrogiem. To prawda, że znalazł obrączkę, ale to nie znaczyło, że jesteśmy kwita. Chciałam być pewna, że się na koniec nie pobijemy. Kiedy pchnęłam drzwi, zobaczyłam go przy barze. Przed nim stało piwo, w dłoni trzymał gazetę. Podeszłam do niego, ale nie zauważył mnie.

– To ja zdaje się miałam postawić piwo.

– Byłem pewien, że obleci cię tchórz.

– Nie znasz mnie.

Edward dał znak barmanowi, żeby do nas podszedł. Pokazał mu pusty kufel i zamówił dwa piwa. Nie miałam czasu zareagować, błyskawicznie za mnie zapłacił. Judith ostrzegła, że jej brat jest prawdziwym macho.

Na samą myśl o piwie zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłam przekonać się do guinnessa. Zauważyłam, że Irlandki piją piwo, ale ja nie byłam Irlandką, tylko Francuzką, paryżanką, która uważała, że piwsko jest ohydne. Mój żołądek zdążył już zapoznać się z ich paskudnym winem, teraz przeżywał szok po spotkaniu z ich narodowym napojem. Ale nie miałam wyjścia. Nie mogłam sobie pozwolić na okazywanie słabości przed tym typem.

– Za co pijemy? – zapytał.

– Za zawieszenie broni.

Zebrałam się w sobie i pociągnęłam łyk. A potem drugi.

– Dobrze to cholerstwo, smakuje jak kawa – mruknęłam.

– Przepraszam, nie zrozumiałem, co powiedziałaś, mówiłaś po francusku.

– Nic takiego, nieważne.

Kiedy zapadła cisza, poczułam się niezręcznie.

– Jesteś zadowolony ze zdjęć, które dzisiaj zrobiłeś?

– Niespecjalnie.

– Nie nuży cię robienie zdjęć tego samego?

– To nigdy nie jest to samo.

Następnie Edward wygłosił prelekcję na temat fotografii, która była jego wielką pasją. A i mnie, o dziwo, zainteresowało to, o czym opowiadał.

– Żyjesz z tego?

– Robię zdjęcia komercyjne, ale staram się maksymalnie skoncentrować na tym, co mi się podoba. A ty czym się zajmujesz w Paryżu?

Westchnęłam ciężko, zanim zamówiłam następną kolejkę. Tym razem udało mi się go wyprzedzić. W ciągu dwóch godzin stałam się fanką guinnessa. Nieźle sobie golnęłam.

– Prowadziłam kawiarnię literacką.

– Z mężem?

– Nie. Colin pomógł mi ją otworzyć, ale moim współnikiem był Feliks.

– Co takiego? Ten pajac, z którym się pobiłem?

– We własnej osobie. Ale przyznaj, że ten pajac zostawił ci na pożegnanie niezły prezent.

Wskazałam palcem ranę na wardze Edwarda. Prawdę mówiąc, Feliks wyolbrymił swoje dokonania.

– Zachowaliśmy się jak para szczeniaków. – Edward uśmiechnął się do mnie. – Jednym słowem, chcesz powiedzieć, że to on zajmuje się kawiarnią pod twoją nieobecność?

– Tak. Od półtora roku jest sam przy sterze.

– Chcesz zbankrutować? Nie chcę powiedzieć, że on nie jest sympatyczny, ale trudno mi sobie wyobrazić, że może być dobrym biznesmanem.

– Nie mylisz się. Ja też nie jestem bez winy. Nie podjąłem żadnego wysiłku, żeby przejąć ster, a nawet przed śmiercią Colina i Klary nie bardzo się starałam.

– Jednak pewnego dnia będziesz musiała tam wrócić. Wyobrażam sobie, że prowadzenie kawiarni literackiej w Paryżu jest niezwykle ekscytujące.

Unikałam jego spojrzenia.

Wyszliśmy razem na dwór. Oboje mieliśmy ochotę na papierosa. Po tej fajce pokoju Edward odprowadził mnie do samochodu, a potem wsiadł do swojego.

Przez chwilę siedziałam w samochodzie zdumiona obrotem spraw, a w końcu

odpaliłam silnik. Odgłos klaksonu wyrwał mnie z zadumy. Kiedy wóz Edwarda zrównał się z moim, odkręciłam szybę.

– Wyprzedzę cię – zażartował Edward z uśmiechem.

– Bardzo proszę.

Ruszył jak burza. Kiedy dojechałam do domku, musiałam przyznać, że po raz pierwszy nie zdenerwowały mnie światła, które paliły się u mojego sąsiada.

Od kiedy Edward i ja ogłosiliśmy rozejm, nasze ścieżki wiecznie się przecinały; spotykaliśmy się na plaży, u Jacka i Abby, u których coraz częściej przesiadywałam, a także od czasu do czasu w pubie.

Pewnego razu poszłam na spacer po plaży, mając pod opieką Pata. Edward robił zdjęcia. Kiedy do niego wróciliśmy, zobaczyłam, że pospiesznie chowa sprzęt.

– Już skończyłeś?

– Nie mam ochoty przemoknąć. Wracam do domu.

– Przecież to tylko mały deszczyk.

Edward uśmiechnął się, słysząc moje słowa.

– Ty powinnaś zrobić to samo.

– Chyba żartujesz, to trzy niewinne chmurki.

– Mieszkasz tu od prawie pół roku i wciąż nie poznałaś się na naszej pogodzie. Zapewniam cię, że czeka nas niezła ulewa.

Pomaszerował do domu, wymachując ramionami. Pat zawahał się czy biec za nim, czy zostać ze mną, ale kiedy rzuciłam mu patyk, zaczął się ze mną bawić.

Jednak nasza zabawa nie potrwiała długo, bo po kwadransie spadła na nas pierwsza fala wody. Popędziłam w stronę domu. Pat mnie wyprzedzał. Kiedyś rzucę palenie i zacznę biegać szybciej. Ponieważ drzwi do domu Edwarda były uchylone, pies wpadł do środka. Niewiele myśląc, pobiegłam jego śladem i dopiero na widok Edwarda stanęłam jak wryta.

– Przecież cię nie zjem. Wejdz – powiedział.

– Nie. Pójdę do siebie.

– Nie jesteś wystarczająco mokra?

Pokiwałam głową.

– Chodź, ogrzej się.

Po czym poszedł na górę. Wciąż panował u niego potworny bałagan. Podeszłam do kominka, żeby ogrzać dłonie i zamyśliłam się nad zdjęciem, które stało na gzymsie. Było to zdjęcie kobiety na plaży w Mulranny. Edward faktycznie miał talent, jeśli był jego autorem.

– Włóż to – usłyszałam za plecami.

Złapałam sweter, który mi rzucił. Sięgał mi do kolan. Potem z wdzięcznością wzięłam od Edwarda kubek z kawą i znowu przyjrzałam się zdjęciu, grzejąc się przy rozpalonym kominku.

– Może usiądziesz?

– To ty zrobiłaś to zdjęcie?

– Tak. Tuż przed tym, kiedy postanowiłem tu zamieszkać.

– Kim jest ta kobieta?

– Nikt ważny.

Odwróciłam się i oparłam o kominek. Edward siedział na kanapie.

– Od kiedy mieszkasz w Mulranny?

Edward wziął papierosy ze stolika, zapalił, położył łokcie na kolanach i podrapał się po brodzie.

– Od pięciu lat.

– Dlaczego wyjechałeś z Dublina?

– Czy to przesłuchanie?

– Nie... skąd... przepraszam. Jestem ciekawska.

Zaczęłam ściągać sweter.

– Co robisz? – zapytał Edward.

– Przestało padać, nie będę ci więcej zawracać głowy.

– Nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego zostałem pustelnikiem?

Włożyłam głowę z powrotem w sweter, co oznaczało, że chciałam się dowiedzieć.

– Wyjechałem z Dublina, ponieważ miałem dość życia w mieście.

– Judith mówiła, że dobrze ci tam było, poza tym sądziłam, że odpowiada ci, że jesteś blisko niej.

– Musiałem zmienić swoje życie.

Po tych słowach Edward zamknął się jak ostryga i nagle wstał.

– Zostaniesz na kolację?

Po chwili zaskoczenia przyjąłem zaproszenie Edwarda. Zaczął się krzątać przy kuchence i nie pozwolił sobie pomóc.

Podczas kolacji opowiadał mi o Judith, o rodzicach oraz o wujku i ciotce. Ja zwierzyłam mu się z trudnych relacji z moimi rodzicami. Był taktowny i nie pytał o Colina i Klarę.

W pewnej chwili poczułam się bardzo zmęczona.

– Chciałabyś odpocząć? – spytał.

– Tak, powinnam już iść.

Kiedy Edward odprowadził mnie do wyjścia, zauważyłam na podłodze podróżną torbę.

– Wybierasz się gdzieś?

– Skoro świt. Robię reportaż w Belfaście.

– A co zrobisz z psem?

– Zaopiekujesz się nim?

– Jeśli ci to ułatwi sprawę...

– Bierz go, jest twój.

Otworzyłam drzwi. Wreszcie udało mi się zagwizdać na Pata, który przycwalował natychmiast do mnie. Edward pogłaskał go na pożegnanie, chociaż jego piesz-

czoty bardziej przypominały szturchańce. Po kilku krokach odwróciłam się.

– Kiedy wracasz?

– Za osiem dni.

– W porządku. Dobranoc.

Przez cały dzień pogoda była szkaradna, więc prawie nie wystawiliśmy nosa za drzwi. Nasza mnie rzadka ochota na gotowanie. Gdyby się nie udało, miałam do dyspozycji żywy śmietnik.

Moje danie dochodziło. Umościłam się wygodnie na kanapie, a Pat usadowił się przy moich nogach. Pod ręką miałam kieliszek wina i zanurzyłam się w lekturze *The Good Life* Jaya McInerneya, przy akompaniamencie muzyki fortepianowej płynącej z radia. Mój błogostan przerwało dudnienie do drzwi. Pat nawet się nie poruszył, tak jak ja nie miał ochoty, by nam przeszkadzano. Niechętnie otworzyłam drzwi i ujrzałam Edwarda.

– Dobry wieczór – rzekł na powitanie.

– Nie pamiętałam, że wracasz dzisiaj.

– Mogę wyjechać, jeśli sobie życzysz.

– Nie bądź idiotą. Wchodź.

Edward wszedł za mną do salonu. Jego pies powitał go radośnie, ale szybko wrócił na swoje miejsce. Mój sąsiad rozejrzał się po pokoju.

– Patrzysz okiem właściciela? – zapytałam.

– Skądże. Po prostu dawno tu nie byłam.

– Bardzo proszę, czuj się jak u siebie.

– Gdzież bym śmiał.

– Napijesz się wina?

– Z przyjemnością.

Poszłam do kuchni. Przy okazji chciałam sprawdzić szybkowar. Ugotowałam trzy razy za dużo jedzenia. Oparłam się o kuchenkę, żeby odzyskać równowagę. Wróciłam do salonu i bez słowa podałam Edwardowi kieliszek.

– Wszystko w porządku? – Zapytał.

– Zostaniesz na kolację?

– Nie wiem...

Zapaliłam papierosa i usiadłam przy oknie. Zapadła głęboka noc.

– Po raz pierwszy od półtora roku coś ugotowałam. Wciąż mam zakodowane w głowie porcje na trzy osoby... Mogłabym dziś wykarmić oddział wojska. Zrobiłabyś mi przyjemność jedząc ze mną.

– Byłbym niegrzeczny, gdybym odmówił.

– Dziękuję – odparłam i pochyliłam głowę.

Podczas kolacji Edward opowiedział mi, co się wydarzyło w ciągu tego tygodnia. Ja z kolei rozśmieszyłam go, opisując moje wyścigi z Patem. Ze zdumieniem odkryłam nagle, że czerpię przyjemność z jedzenia kolacji z kimś, kogo raptem kilka tygodni temu nazywałam dupkiem. Czysty surrealizm.

Włączyłam ekspres do kawy i wróciłam do salonu. Edward stał na środku pokoju z papierosem w ustach. Nie dojrzałam, co trzyma w dłoniach i na co patrzy. Uniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

– Byliście piękną rodziną.

Podeszłam i wzięłam od niego zdjęcie. Usiadłam, a on ukucnął obok mnie. To była jedna z ostatnich fotografii mojej rodziny, zrobiona na kilka tygodni przed ich śmiercią.

– Przedstawiam ci Colina i Klarę – rzekłam do Edwarda, głaszcząc delikatnie moją córeczkę po twarzy.

– Jest do ciebie podobna.

– Naprawdę tak myślisz?

– Zostawię cię już. Idź się położyć.

Włożył kurtkę, zagwizdał na psa i ruszył do wyjścia.

– Za trzy dni jadę na wyspy Aran – oznajmił.

– Czy chcesz, żebym się zajęła Patem?

– Nie. Chcę, żebyś pojechała ze mną.

– Słucham?

– Możesz mi towarzyszyć. Nie zawiedziesz się.

Powiedziawszy to, zniknął.

Rozdział 7

Nie zastanawiałam się długo nad propozycją Edwarda. Odjeżdżaliśmy odprowadzani niedowierzającymi spojrzeniami Abby i Jacka, którzy mieli się zaopiekować Patem.

Podróż samochodem i przeprawa łodzią upłynęły nam w milczeniu. Przy nim nauczyłam się nie mówić, gdy nie miałam nic do powiedzenia.

Gdy tylko dotarliśmy na wyspę, Edward zabrał mnie do odległego zakątka, miejsca, gdzie według niego światło idealnie służyło robieniu zdjęć. I pożałowałam, że z nim przyjechałam. Od zawsze cierpiałam na lęk wysokości, a znajdowaliśmy się na stromym urwisku wysokości ponad dziewięćdziesięciu metrów.

– Chciałem ci pokazać ten zakątek. Nie sądzisz, że jest bardzo kojący?

Szczerze mówiąc, bardziej odpowiednim przymiotnikiem byłby „przerażający”.

– Zupełnie jakbyśmy byli sami na świecie.

– Właśnie dlatego lubię tu przebywać.

– Przynajmniej sąsiedzi nie zakłócają ci spokoju.

Spojrzelśmy na siebie znacząco.

– Zabieram się do pracy – oznajmił Edward. – A ty musisz uszanować tradycję wyspy.

– Jaką tradycję?

– Każdy nowo przybyły musi położyć się na klifie na brzuchu, tak aby głowa znajdowała się nad przepaścią. Nadeszła twoja kolej.

Zaczął odchodzić i musiałam przytrzymać go za ramię.

– Żartujesz, prawda?

– A co, boisz się?

– Wcale, wręcz przeciwnie – odrzekłam przekornym tonem. – Uwielbiam silne emocje.

– A więc spraw sobie przyjemność.

Tym razem odszedł na dobre i rzucił mi wyzwanie. Zapaliłam papierosa i opuściłam się na kolana. Jedyne na czworakach dam radę zbliżyć się do urwiska, jak komandos. Metr od celu zaczęłam dygotać, moje mięśnie zeszywniały, byłam sparaliżowana strachem i całą siłą woli powstrzymywałam się, żeby nie zacząć histerycznie wyć. Mijały minuty, a ja nie byłam w stanie się ruszyć i oddalić od urwiska. Nie mogłam nawet odwrócić głowy, żeby zlokalizować robiącego zdjęcia Edwarda, tak się bałam, że za moment spadnę. Wymruczałam jego imię, żeby przyszedł mi z pomocą, ale nie słyszał mnie.

– Edward, pomóż! – krzyknęłam w końcu.

Minuty wlekły się niczym godziny. Wreszcie przyszedł.

– Co tu jeszcze robisz?

– A jak myślisz?

– Tylko mi nie mów, że cierpisz na lęk wysokości.

– Owszem.

– To dlaczego chciałaś to zrobić?

– Nieważne. Zrób coś, cokolwiek. Pociągnij mnie za stopy, tylko mnie nie puszczaj.

– Nie ma mowy.

Łajdak. Czułam, że kładzie się obok mnie.

– Co robisz?

Bez słowa otoczył mnie ramieniem i mocno do siebie przytulił. Nadal nie byłam w stanie się ruszyć.

– Przesuwaj się razem ze mną – wyszeptał.

– Nie – wydyszałam.

Gdy poczułam, że Edward przyciąga nas w stronę urwiska, ukryłam twarz w jego szyi.

– Spadnę.

– Nie puszczę cię.

Powoli uniosłam głowę. Smagał mnie wiatr, a moje włosy rozwiewały się we wszystkie strony. Lekko otworzyłam powieki i dostrzegłam uderzające o brzeg rozszalałe fale. Wydawało mi się, że jestem wsysana w głąb przepaści. Edward ścisnął mnie mocniej. Zmrużyłam oczy i otworzyłam się na żywioł, straciłam kontrolę nad sytuacją, a moje ciało się rozluźniło. Odwróciłam głowę w stronę Edwarda, który uważnie mi się przyglądał.

– Co? – zapytałam.

– Podziwiał widowisko.

Rzuciłam mu ostatnie spojrzenie i pochyliłam głowę w dół. W końcu Edward wstał, chwycił mnie w tali i podniósł.

– Musimy wracać – powiedział.

Wieczór spędziliśmy w portowym pubie. W drodze do pensjonatu dowiedziałam się, że następnego dnia zamierzał jechać w plener skoro świt.

Wyciągnęłam się na łóżku i spałam jak dziecko. Wstałam późno i dostrzegłam pod drzwiami wsuniętą kartkę. Była to mapa wyspy, z zaznaczonym miejscem, gdzie spędzi dzień Edward.

Właściciel pensjonatu przygotował mi obfite śniadanie. Zajadając się, słuchałam jego opowieści o samotnych przyjazdach Edwarda.

Po ponad godzinnym marszu dotarłam do celu. Przede mną rozciągała się plaża, a w oddali ujrzałam Edwarda z aparatem w rękę. Gdyby nie obawa, że go zdekoncentruję, pobiegłabym do niego, sama nie wiem, dlaczego. Zamiast tego usiadłam, żeby na niego popatrzeć. Wzięłam garść piasku i przesypywałam go pomiędzy palcami. Było mi dobrze, przygniatający mnie ciężar ustąpił. Życie zaczęło płynąć swoim torem, a ja przestałam się opierać.

Edward szedł przez plażę z torbą na ramieniu i palił papierosa. Doszedłszy do mnie, usiadł obok.

– Suseł się wreszcie obudził?

Opuściłam z uśmiechem głowę. Poczułam, że Edward się nachyla, i jego usta spoczęły na mojej skroni.

– Dzień dobry – powiedział po prostu.

Zmieszałam się.

– Jak twoje zdjęcia? – wolałam zmienić temat.

– Zobaczysz, jak wywołam. Skończyłem na dzisiaj. Chcesz się trochę przejść? – zapytał, podnosząc się.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego. Miałam ochotę wziąć go za rękę i już nic mnie nie powstrzymywało. Edward przyciągnął mnie do siebie i stałam tak przez chwilę, poddając się wszechogarniającemu poczuciu bezpieczeństwa. Potem odsunęłam się i zaczęłam iść powoli w stronę morza. Odwróciwszy głowę, zobaczyłam, że Edward podążał za mną. Uśmiechnął się, a ja odwzajemniłam uśmiech.

Spałam pół dnia, a mimo wszystko byłam wykończona. Ponownie zasnę, gdy tylko moja głowa dotknie poduszki.

– Co zaplanowałaś na jutro? – zapytałam Edwarda przed drzwiami mojego pokoju.

– Znalazłem statek, żeby popłynąć na sąsiednią wyspę.

– Mogę popłynąć z tobą?

Uśmiechnął się i potarł dłonią twarz.

– Nieważne, będę ci przeszkadzać – powiedziałam, otwierając drzwi.

– Nie powiedziałem nie.

Odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy.

– Popłyń ze mną, ale będziesz musiała wstać skoro świt. – Uśmiechnął się kąciakami ust.

– Hej, potrafię wcześniej wstawać!

– W takim razie przyjdę po ciebie o szóstej.

Podszedł i podobnie jak po południu pocałował mnie w skroń.

Nastawiłam stojący w pokoju budzik i alarm w komórce. Kiedy rozdzwoniły się wszystkie dzwonki, podskoczyłam na łóżku, mając wrażenie, że dopiero przed chwilą położyłam się spać. Myślałam, że przewrócę się ze zmęczenia pod prysznicem. Punktualnie o szóstej, na oślep otworzyłam drzwi i przez półprzymknięte powieki zobaczyłam, że Edward jest rzeński jak skowronek.

– Z jakiej planety pochodzisz? – zapytałam ledwie żywa.

– Mało śpiam.

– Są na statku jakieś koje?

Gestem pokazał, żebym szła za nim. Wstąpił po drodze do kuchni, a ja stałam oparta o ścianę i zastanawiałam się, jak przetrzymam dzisiejszy dzień.

– Proszę – powiedział, podając mi kubek od termosu.

– Czy to jest, to co myślę?

– Coraz lepiej cię znam.

– O Boże, dzięki!

Dawka kofeiny i widok portu obudziły mnie całkowicie. Z oddali dochodziły nas odgłosy wciąganych sieci, a przez mgłę przebijały się światła łodzi rybackich. Zrozumiałam, że za chwilę wsiądziemy na jedną z tych łajb. Brakowało mi tylko żółtej kurtki przeciwdeszczowej i granatowych kaloszy, żeby zadać paryskiego szyku na wodzie.

Trzymałam się nieco z tyłu, podczas gdy Edward pozdrawiał mijanych rybaków, z petami w ustach i twarzami pooranymi wiatrem. Na co dzień zmagali się z siłami natury. Głupio się czułam, gdy się na mnie patrzyli. W końcu Edward pomógł mi wsiąść na jedną z łodzi.

– Zostaniesz w kabinie – oznajmił.

– A ty?

– A ja będę z nimi.

– Zgoda.

– Nie ruszaj się stąd, dopóki po ciebie nie przyjdę. I... niczego nie dotykaj i nie otwieraj ust.

– Potrafię się zachować.

– Nie znasz tego przesądu? Kobieta na statku przynosi nieszczęście. A ty nie byłaś przewidziana w programie, musiałem się o ciebie bić.

– Co takiego im powiedziałeś, żeby ich przekonać?

Spojrzał na mnie bardzo poważnie i potarł dłonią twarz.

– Nic takiego.

Odszedł.

Nie sprawiłam żadnych kłopotów podczas przeprawy, więc na pożegnanie zasłużyłam na uśmiechy.

Ranek spędziliśmy w porcie, w towarzystwie rybaków, po czym udaliśmy się w kierunku plaży, znajdującej się w otoczonej klifami zatoczce. Edward zabrał się do pracy, a ja skorzystałam ze sposobności, żeby pójść sprawdzić, co kryło się za skałami. Wspięłam się na górę i zobaczyłam rozciągające się jak okiem sięgnąć morze. Usiadłam oparta plecami o skałę i zamknęłam oczy. Wygrzewałam się w promieniach słońca, rozkoszując się chwilą.

Naraz dobiegł mnie głos Edwarda.

– Diane!

– Tak?

Odwróciłam się do niego i uśmiech zniknął z mojej twarzy, gdy uświadomiłam sobie, że właśnie zrobił mi zdjęcie. Uśmiechnął się z satysfakcją i odmaszerował. Pospiesznie zeszłam ze skały i pobiegłam za nim.

– Natychmiast pokaż mi te zdjęcia!

– Są własnością artysty – odrzekł, unosząc w górę aparat.

Skakałam wokół niego, bezskutecznie usiłując dosięgnąć aparatu. W końcu rzuciłam się na piasek, a Edward do mnie dołączył.

– Ale kiedyś mi je pokażesz?

– Jeśli będziesz grzeczna.

Dostrzegłam leżący obok niego aparat. Wykonałam rzut, pośpiesznie chwytając obiekt mojego pożądania i odbiegłam kawałek. Korzystając z zaskoczenia, zaczęłam oglądać go ze wszystkich stron.

– Jak to się włącza?

– Tak.

Edward stał tuż za mną. Jego ramiona znalazły się po obu stronach mojego ciała. Położył mi ręce na dłoniach, ucząc obsługiwać aparat. Zaświecił się ekran.

– Naprawdę chcesz je teraz oglądać? – wyszeptał mi do ucha.

– Poczekam pod jednym warunkiem.

– Słucham.

– Chciałabym mieć zdjęcie z tobą.

– Nie ma mowy.

– Co, pan fotograf boi się zrobić sobie portret?

Nie odpowiedział, tylko zaczął zmieniać ustawienia. Na jego nachylonej ponad moim ramieniem twarzy widać było koncentrację. Nagle bez uprzedzenia uniósł rękę i zrobił nam zdjęcie.

– Uśmiechnij się, Edwardzie. Poczekaj, pomogę ci.

Odwróciłam się w jego ramionach i palcami podciągnęłam do góry kąciki jego ust.

– Widzisz, jak chcesz, to potrafisz! No dalej, rób zdjęcie.

Po raz pierwszy widziałam Edwarda tak radosnego, beztroskiego. Zrobiliśmy serię zdjęć, podczas których trzymał mnie na plecach, ale tak bardzo się wierciłam, że w końcu oboje upadliśmy na piasek. Udało mi się wyrwać mu aparat i uciec. Kiedy się odwróciłam, dostrzegłam, że Edward nie ruszył się z miejsca i przyglądał mi się uważnie. Potem usiadł, zapalił papierosa i zapatrzył się w morze. Jakimś cudem zdołałam uwiecznić tę scenę. Podeszłam i stanęłam przed nim.

– I co o tym myśli profesjonalista?

Włożył papierosa w kącik ust, zabrał mi aparat i pochylił się nad zdjęciem. Gdy dostrzegł, że jest przedmiotem fotografii, spojrzął na mnie.

– Usiądź tu – powiedział, rozsuwając kolana.

Usiadłam, a on objął mnie, trzymając aparat tuż pod moimi oczami.

– Nieźle, jak na pierwszy raz – oznajmił. – Ale brakuje...

Przestałam słyszeć jego słowa. Wpatrywałam się w jego twarz, powiewające na wietrze włosy, trzydniowy zarost, kolor oczu. Po raz pierwszy poczułam jego zapach, połączenie mydła i tytoniu. Przyływ emocji był tak silny, że musiałam zamknąć oczy.

– Zrobimy jeszcze jedno.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, wcisnął włącznik. Przyłożył do mojego policzka dłoń, a ja oparłam o nią głowę.

– A teraz musimy wracać do portu, nie będą na nas czekać – powiedział głosem bardziej zachrypniętym niż zwykle.

Wstał, schował aparat i pomógł mi się podnieść. Wracaliśmy do portu, trzymając się za rękę.

– Obudź się, jesteśmy na miejscu – usłyszałam głos Edwarda.

Zasnęłam w jego ramionach, podczas przeprawy z wyspy. Głaskał mnie po policzku, żebym doszła do siebie. Wtuliłam w niego twarz, było mi wspaniale.

Pomimo późnej godziny, właściciel oczekiwał nas i zostawił nam resztki obiadu. Edward czuł się tu jak u siebie w domu. Podgrzał jedzenie i nalał po kieliszku wina, podczas gdy ja siedziałam beczynnym przy barze. Jedliśmy w milczeniu, wymieniając jedynie spojrzenia.

– Pamiętasz, że wracamy jutro do Mulranny? – zapytał Edward po kolacji, gdy wyszliśmy przed pensjonat na papierosa.

– Nie chcę o tym myśleć – odrzekłam, czując ucisk w żołądku.

– Wszystko w porządku?

– Tutaj jestem naprawdę wolna. Nie chcę wracać.

– Chodźmy spać.

Przytrzymał dla mnie drzwi wejściowe. Przeszłam obok, lekko się o niego ocierając, a Edward odprowadził mnie do mojego pokoju. Zaskoczyła mnie jego bliskość, stał podparty ręką o ścianę, ze spuszczoną głową.

– Dziękuję za te trzy dni.

– Cieszę się, że ze mną przyjechałaś.

Spojrzał mi w oczy. Moje serce przyspieszyło. Położył usta na mojej skroni. Straciłam nad sobą panowanie i złapałam się jego koszuli. Pochylił się, tak że dotknęliśmy się czołami. Nie mogłam zapanować nad oddechem, a z moim żołądkiem działy się dziwne rzeczy. Jego usta po raz pierwszy dotknęły moich, za moment po raz drugi. Przysunęłam się bliżej, objęłam go i oddałam pocałunek. Gdy oderwaliśmy od siebie usta, pieszcząc mój policzek, wyszeptał:

– Proszę, zatrzymaj mnie.

Spuściłam wzrok, mając ręce wciąż zaciśnięte na jego koszuli. Moje zmysły szalały, ale musiałam opanować emocje. Całą siłą woli zmusiłam się, żeby puścić jego koszulę, i jak najdelikatniej potrafiłam, odsunęłam go od siebie. Nie stawiał oporu.

– Przepraszam – powiedział. – Ja...

Położyłam mu palec na ustach.

– Myślę, że dziś powinniśmy na tym poprzestać.

Złożyłam lekki pocałunek na jego zamkniętych ustach, otworzyłam drzwi i weszłam do pokoju. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że nie spuszcza za mnie wzroku.

– Śpij dobrze – powiedziałam cicho.

Potarł dłonią twarz, uśmiechnął się i zrobił dwa kroki do tyłu. Zamknęłam delikatnie drzwi i oparłam się o nie plecami. Stojąc na drżących nogach, wsłuchiwałam się w odgłosy domu. Słyszałam, jak Edward schodzi po schodach. Uśmiechnęłam się do siebie. Z pewnością poszedł zapalić.

Z bijącym sercem wsunęłam się po ciemku pod kołdrę i położyłam palce na ustach. Podobał mi się dotyk jego warg. Mogłam posunąć się dalej, ale tego nie zrobiłam. Może wszystko działo się zbyt szybko. Ułożyłam się pośrodku łóżka. Pomimo zmęczenia wpatrywałam się we wpadające przez szczelinę pod drzwiami światło. Chwilę później usłyszałam na schodach kroki. Zatrzymały się pod moim pokojem. Podniosłam się. Edward był tuż za drzwiami, tak blisko. Opuściłam stopy na podłogę i gorączkowo zastanawiałam się, co zrobić. Już chciałam otworzyć mu drzwi, gdy usłyszałam, że odchodzi w stronę swojego pokoju. Wróciłam na łóżko. Dookoła panowała absolutna ciemność. Zapadając w objęcia snu, pomyślałam, że jutro zobaczę Edwarda. Nie mogłam się doczekać.

Otworzyłam oczy, a moje pierwsze myśli powędrowały do niego. Spojrzałam na zegarek. Nasz statek odpływał za godzinę. Wzięłam prysznic, ubrałam się, spakowałam rzeczy i zapięłam torbę. W korytarzu rzuciłam okiem na drzwi jego pokoju: były otwarte. Zajrzałam, chcąc zobaczyć, czy Edward jeszcze tam jest, ale pokój był pusty i już posprzątany. Poszłam do kuchni, gdzie spotkałam właściciela. Powitał mnie uśmiechem i filiżanką kawy, i zaproponował mi swoje słynne śniadanie.

– Nie, dziękuję. Nie jestem dziś głodna.

– Jak sobie życzysz, ale przed podróżą zawsze lepiej coś zjeść.

– Zadowolę się kawą.

Na stojąco wypiałam kilka łyków.

– Widziałeś Edwarda? – zapytałam.

– Wstał jeszcze wcześniej niż zwykle i jeszcze mniej rozmowny, dasz wiarę?

– Trudno to sobie wyobrazić.

– Poszedł do portu, a potem wrócił, żeby zapłacić za wasz pobyt.

– A gdzie jest teraz?

– Zniecierpliwiony czeka na ciebie na dworze.

– Ach...

Pod drwiącym spojrzeniem gospodarza skończyłam kawę.

– Jesteś bardzo blada. To przez czekającą cię podróż czy przez Edwarda?

– A co jest gorsze?

Wybuchnął śmiechem.

Pożegnałam go gestem ręki i wyszłam.

Edward nie zauważył mnie. Zamyślony, głęboko zaciągał się papierosem. Zawołałam go po cichu. Spojrzał nieodgadnionym wzrokiem i podszedł, bez słowa sięgając po moją torbę.

Przytrzymałam go za ramię.

– Wszystko w porządku?

– A u ciebie? – odrzekł szorstko.

– Tak, przynajmniej tak mi się wydaje.

– Chodźmy.

Wysilił się na uśmiech, wziął mnie ze rękę i pociągnął w stronę portu. W miarę jak szliśmy, coraz bardziej się do niego zbliżałam, w końcu splotłam palce z jego palcami.

W porcie musieliśmy poczekać, aż rozładują nasz statek. Pomimo szalejącego wiatru poszłam za Edwardem na mostek. Zapalił papierosa i podał mi, a potem przypatrywałam się, jak zapala swojego. Oparł się o barierkę i palił w milczeniu.

Statek wypłynął z portu, a my dalej staliśmy na mostku.

– Będzie bujać – ostrzegł Edward.

– Zostajesz tu?

– Przez chwilę. Zejdź, jeśli chcesz.

Stanełam mocno na nogach i również przytrzymałam się barierki. Porządnie nami kołysało, a od wiatru bolały mnie uszy, ale za nic w świecie nie chciałam być teraz nigdzie indziej. Nagle znalazłam się w mojej prywatnej bezpiecznej przystani. Edward stanął za mną i otoczył mnie ramionami, kładąc ręce na moich dłoniach.

– Daj znać, jeśli zrobi ci się niedobrze – wyszeptał mi do ucha. Z jego głosu przebijał śmiech i szturchnęłam go lekko łokciem.

Całą podróż staliśmy przytuleni, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Tak wspaniale było przeżywać to wszystko razem. Gdy statek dobił do brzegu, Edward poszedł po nasze torby. W drodze na parking ponownie wziął mnie za rękę. Zająłam miejsce w samochodzie, a on ładował bagażnik. Kiedy usiadł za kierownicą, westchnął

głęboko. Musiał czuć, że go obserwuję, bo skręcił głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Wracamy?

– To ty jesteś kierowcą.

Jechaliśmy pogrążeni we własnych myślach, kołysani muzyką Red Hot Chili Peppers, która podobnie jak Edward stanowiła połączenie delikatności i brutalności. Co jakiś czas słychać było jedynie odgłos zapalniczki, gdy na przemian zapalaliśmy papierosy. Spoglądałam na rozciągający się wzdłuż drogi pejzaż i bawiłam się zawieszoną na łańcuszku obrączką. Nie śmiałam spojrzeć na Edwarda. Gdy mijaliśmy tablicę z napisem Mulranny, zeszywniałam i wyprostowałam się na fotelu. Edward zaparkował przed moim domem, ale nie wyłączył silnika.

– Cóż, mam trochę pracy.

– Nie ma sprawy – odrzekłam pośpiesznie, wysiadając z samochodu.

Zatrzasnęłam drzwi mocniej, niż zamierzałam. Wyjęłam z bagażnika swoje rzeczy. Edward nie ruszał się z miejsca, ale również nie odjeżdżał. Doszłam do drzwi i zaczęłam szukać klucza, a gdy go znalazłam, byłam tak bardzo zdenerwowana, że nie mogłam trafić w dziurkę. Jeśli Edward nie miał mi nic do powiedzenia, mógłby już odjechać. Nagle upuściłam klucz, odwróciłam się gwałtownie i wpadłam wprost na niego. Przytrzymał mnie w talii, żebym nie upadła do tyłu, i puścił dopiero po upływie kilku sekund. Poprawiłam włosy, a on zapalił papierosa.

– Może mogłabyś przyjść do mnie dziś wieczorem? – zaproponował.

– Ja... tak... chciałabym.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez dłuższą chwilę. Napięcie rosło. W końcu Edward potrząsnął głową.

– To do zobaczenia.

Ze zdziwieniem zobaczyłam, że podnosi mój klucz i otwiera drzwi.

– Teraz lepiej?

Pocałował mnie w skroń i odszedł w stronę samochodu, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Stałam i patrzyłam na jego odjeżdżającą w tumanach kurzu terenówkę.

Rozdział 8

Wzięłam długi, gorący i relaksujący prysznic. Stałam naga przed lustrem i patrzyłam na swoje ciało. Tak długo nie poświęcałam mu żadnej uwagi, umarło wraz ze śmiercią Colina. Wczoraj Edward delikatnie je zaczął wskrzeszać. Wiedziałam, co się dziś między nami wydarzy. Aż do tej chwili myślałam, że nie dotknie mnie już żaden mężczyzna. Czy pozwolę dłoniom i ciału Edwarda zastąpić dłonie i ciało Colina? Nie powinnam o tym myśleć. Przypomniałam sobie kobiece zabiegi: wtarłam w skórę krem nawilżający, musnęłam kropelką perfum zagłębienie pomiędzy piersiami, uczesałam włosy, wybrałam bieliznę, ubrałam się z intencją uwiedzenia.

Nadszedł wieczór. Byłam podekscytowana jak zakochana nastolatka, i to z po-

wodu mężczyzny, do którego jeszcze tak niedawno pałałam nienawiścią. A teraz nagle nie mogłam bez niego wytrzymać kilku godzin. Spojrzałam przez okno w stronę jego oświetlonego domu i żeby powstrzymać się przed obgryzaniem paznokci, zapaliłam papierosa. Pałętałam się po pokoju, oblewały mnie fale gorąca, a za chwilę dygotałam z zimna. Po co mam dłużej czekać? Włożyłam skórzaną kurtkę, chwyciłam torebkę i wybiegłam z domu. Nasze domy dzieliło zaledwie kilka metrów, ale znalazłam czas, żeby zapalić kolejnego papierosa. Zatrzymałam się pośrodku drogi i pomyślałam, że jeszcze mogę wrócić, Edward o niczym się nie dowie. Zadzwońię do niego i powiem, że nie najlepiej się czuję. Byłam przerażona, z pewnością go zawiodę, już nie pamiętam, jak to się robi. Ale zaraz zaśmiałam się z samej siebie. Co za idiotka, tego się nie zapomina, tak samo jak jazdy na rowerze! Zgasiłam papierosa i zapukałam do drzwi. Edward otworzył po kilku sekundach. Obejrzał mnie od stóp do głów i utkwiał wzrok w moich oczach. Mój oddech przyspieszył, a fasada spokoju, którą starałam się za wszelką cenę zachować, runęła z hukiem.

– Wejdz.

– Dziękuję – powiedziałam ledwie słyszalnym głosem.

Odsunął się, żeby mnie przepuścić. Listonosz Pat przygalopował na powitanie, ale nawet to nie pomogło mi się odprężyć. Zadrzałam, czując na plecach dłoń Edwarda, który prowadził mnie do salonu.

– Napijesz się wina?

– Tak, poproszę.

Pocałował moją skroń i poszedł za bar. Zamiast go obserwować, rozglądałam się wokoło, starając samą siebie przekonać, że to ten sam Edward, którego znałam przed wyjazdem na wyspy Aran i że spędzimy razem zwyczajny, przyjacielski wieczór, a wszystko, co było między nami, tylko sobie wyobraziłam. Chciałam, żeby wszechobecny bałagan i porozstawiane wszędzie przepelnione popielniczki potwierdziły moją teorię. Rozglądałam się po pokoju w coraz większej panice.

– Posprzątałeś?

– Dziwi cię to?

– Być może, nie wiem.

– Usiądź.

Spojrzałam na niego. Pokazywał mi miejsce na kanapie. Przysiadłam na samym brzeжку i unikając jego wzroku, wzięłam kieliszek wina. Za wszelką cenę muszę się uspokoić.

Sięgnęłam po papierosa, ale nim mogłam użyć swojej zapalniczki, już przed nosem rozbłysnął płomień. Podziękowałam. Edward usiadł przede mną, na niskim stoliku, wziął łyk guinnessa i patrzył na mnie. Opuściłam głowę, ale Edward uniósł mi brodę.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście. Co dzisiaj robiłeś? Pracowałeś? Jak wyszły zdjęcia? No wiesz, te

które zrobiliśmy razem.

Zabrakło mi oddechu. Edward pogłaskał mnie po policzku.

– Odpreź się.

Wypuściłam całe wstrzymywane w płucach powietrze.

– Przepraszam.

Podniosłam się raptownie i zaczęłam spacerować po pokoju, aż w końcu zatrzymałam się przed kominkiem. Rzuciłam niedopałek papierosa w ogień, czując stojącego tuż za mną Edwarda. Wyjął mi z ręki kieliszek i postawił na gzymsie kominika, potem położył dłonie na moich ramionach. Zesztywniałam.

– Czego się boisz?

– Wszystkiego...

– Ze mną nie musisz niczego się bać.

Odwróciłam się do niego, a on uśmiechnął się i odsunął włosy z mojej twarzy. Wtuliłam się mu w ramiona, wdychałam jego zapach, poddając się pieścizocie dłoni błędzącej po moich plecach. Staliśmy tak przez dłuższą chwilę i czułam się cudownie. Wszystkie moje wątpliwości uleciały.

Pocałowałam go delikatnie. Chwycił moją twarz w obie dłonie i oparł czoło o moje czoło.

– Wiesz, że idąc do ciebie, prawie zawróciłam?

– A więc straciliśmy świetną okazję do sprzeczki.

– Chcesz powiedzieć, że przyszedłbyś zażądać wyjaśnień?

– Żebyś wiedziała.

Bawiłam się guzikiem jego koszuli.

– Myślałem o tobie cały dzień.

Podniosłam ku niemu wzrok, a on popatrzył mi głęboko w oczy. To ode mnie zależało, jak daleko się posuniemy. W tym momencie postanowiłam wyłączyć umysł i pozwoliłam przejąć kontrolę ciała. Stałam na palcach.

– Ufam ci – powiedziałam, z ustami przyciśniętymi do jego ust.

Nawet sobie nie wyobrażałam, że kiedykolwiek pocałuję go w ten sposób. Złapał mnie za biodra i mocno do siebie przycisnął. Wtuliłam się w niego. Czułam błędzące pod moim ubraniem dłonie; dotykał moich pleców, brzucha, piersi. Jego pieścizoty dodawały mi pewności siebie. Wyciągnęłam z džinsów jego koszulę, rozpięłam ją; chciałam odkryć jego skórę, ciepłą, pełną życia. Oderwaliśmy od siebie usta, żeby Edward mógł zdjąć mi koszulkę. Nasze spojrzenia się spotkały. Podniósł mnie, a ja zaplotłam nogi wokół jego talii. Miękko opadliśmy na kanapę, a w momencie gdy dotknęły się nasze nagie ciała, westchnęłam z rozkoszy. Czułam na szyi jego zarost, pocałował mnie tuż przy uchu.

– Jesteś pewna? – wyszeptał.

Spojrzałam na niego z uśmiechem, objęłam dłońmi jego głowę i pocałowałam go. W tym momencie pies zaczął ujadać. Znieruchomieliśmy.

– Leżeć – rzucił Edward.

Spojrzeliliśmy w stronę zwierzaka. Szczercząc zęby i warcząc, wpatrywał się w drzwi wejściowe. Edward położył mi palec na ustach, żebym nic nie mówiła. Rozległo się pukanie.

– Musisz iść otworzyć – wyszeptałam. – To może być coś ważnego.

– Mamy coś lepszego do roboty.

Pocałował mnie, jednocześnie rozpinając mi dzinsy. Nie miałam zamiaru go powstrzymać.

– Edward, wiem, że tam jesteś! – dobiegł zza drzwi stanowczy, kobiecy głos.

Edward zamknął oczy, a jego twarz spoważniała. Zaczął się odsuwać, ale go przytrzymałam.

– Kto to?

– Otwórz drzwi – niecierpliwiła się kobieta. – Muszę z tobą porozmawiać.

Wyzwolił się z mojego uścisku i wstał. Usiadłam na kanapie, otaczając ramionami piersi i obserwowałam, jak usiłował się otrząsnąć, pocierał dłońmi twarz, rozwił włosy. Potem zapalił papierosa i podniósł z podłogi koszulę.

– Co się dzieje? – zapytałam łagodnie.

– Ubierz się – rzucił oschle.

Ze łzami w oczach poszłam na poszukiwanie koszulki i stanika. Gdy doprowadziłam się do porządku, bez słowa poszedł w stronę drzwi. Kopnięciem odsunął z drogi Pata, który przybiegł schronić się przy moich nogach. Edward tak mocno zacisnął dłoń na klamce, że aż wyszły mu żyły, potem otworzył. Zasłaniał sobą nieproszonego gościa, ale dokładnie słyszałam jej słowa.

– Megan – powiedział Edward.

– Mój Boże, tak się cieszę, że cię widzę. Tak za tobą tęskniłam.

Kobieta rzuciła mu się na szyję. To chyba jakiś kiepski kawał. Nie mogłam dłużej tego znieść i odchrząknęłam. Edward zeszywniał. Ona zobaczyła mnie i zrobiła krok w tył.

Była piękna, smukła, miała perfekcyjne kształty, aksamitne spojrzenie i długie czarne włosy. Była ucieleśnieniem zadbanej kobiecości, a z jej zuchwałego spojrzenia biła niezachwiana pewność siebie. Patrzyła to na mnie, to na Edwarda, który odwrócił się w moją stronę. Jego oczy były puste, jakby myślami przebywał gdzie indziej. Przejechała dłonią po jego włosach, ale Edward nie zareagował.

– Widzę, że wróciłam w samą porę – stwierdziła.

Podeszła do mnie.

– Kimkolwiek jesteś, proszę, zostaw nas samych.

Nie zaszczyliłam jej uwagą. Zbliżyłam się do Edwarda, próbując złapać go za rękę, ale odsunął się.

– Powiedz coś. Co się dzieje?

Stał wpatrzony w pustkę i westchnął głęboko.

– Jak to co, jestem jego żoną – oznajmiła kobieta, biorąc go pod ramię.

– Megan – syknął Edward.

– Przepraszam kochanie, wiem.

– Co... o co tu chodzi? – zdenerwowałam się.

Po raz pierwszy od przyścia kobiety, Edward popatrzył mi w oczy. Teraz jego wzrok był zimny, obcy, jakby on sam nagle stał się kimś innym, kimś jeszcze bardziej przerażającym niż podczas naszego pierwszego spotkania. Spojrzałam na półkę nad kominkiem i zobaczyłam zdjęcie. Wtedy zrozumiałam. To nie była przypadkowa kobieta na plaży. Jak mogłam być taką idiotką. Nieźle sobie ze mnie zakpił. Chwyciłam torbę, kurtkę i wyszłam bez słowa, nie zadając sobie trudu, żeby zamknąć za sobą drzwi.

Musiałam zatrzymać się po drodze, żeby zwymiotować. W domu od razu poszłam pod prysznic i szorowałam skórę, żeby zmyć z siebie wszelkie ślady tego obłęsnego typu. Prawie przespałam się z żonatym mężczyzną. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, czy jest z kimś związany. Wyszłam z założenia, że skoro łaknie mojego towarzystwa, musi być wolny. Byłam dla niego jedynie zabawką. Co sobie pomyślał Colin, gdziekolwiek teraz jest? Wystarczyły dwa, trzy uśmiechy, romantyczny weekend i byłam gotowa rozkładać nogi. Czułam obrzydzenie do samej siebie.

Nie mogłam zasnąć, więc po ciemku usiadłam pod oknem w sypialni. Objęłam ramionami kolana i kołysałam się w przód i w tył. W końcu zasnęłam i całą noc śniły mi się koszmary. Twarze Colina i Edwarda zlewały się, jakby obaj sprzysięgli się przeciwko mnie.

Od trzech dni nie wychodziłam z domu. Nie zmrużyłam również oka i rozmyślałam o ostatnich tygodniach spędzonych w towarzystwie Edwarda. Chciałam zrozumieć, w którym momencie zaczęłam się oszukiwać, kiedy postanowiłam być ślepa i głucha, nie zastanawiając się nad ewentualnym istnieniem pani Edwardowej.

W końcu musiałam iść po zakupy i udało mi się przemknąć przez sklep niezauważona przez nikogo. Zamknęłam kłapę bagażnika.

– Diane?

Rozpoznałam głos Jacka. Opadły mi ramiona, ale jakoś zdołałam się uśmiechnąć i odwróciłam się do niego.

– Jak się czuje nasza mała Francuzeczka? Długo cię nie widzieliśmy.

– Dzień dobry, Jack. Wszystko w porządku, dziękuję.

– Chodź ze mną, Abby bardzo się ucieszy.

Nie mylił się. Abby rzuciła mi się na szyję, a ich serdeczność ukoiliła nieco mój gniew. Poczułam się lepiej, rozmawialiśmy nawet o Klarze.

– Myślisz, że wrócisz kiedyś do Francji? – zapytała Abby.

– Nie myślałam jeszcze o tym.

– Nie masz ochoty rozpocząć tam nowego życia?

– Potrzebujecie domku?

– Nie.

Jasne, kłamali jak z nut. Francuzka zaczęła przeszkadzać, i powinna ustąpić miej-

sca kochanicy Edwarda. Trzasnęły drzwi wejściowe. Zastygłam w bezruchu.

– Co tak nagle pobladłaś? Nie czujesz się dobrze? – Zapytała Abby.

– Trochę mi słabo, nic poważnego. Muszę już wracać.

– Poproś Edwarda, żeby cię odprowadził.

– O nie – prawie krzyknęłam. – Poradzę sobie.

Podniosłam się pospiesznie i zebrałam swoje rzeczy.

– Do zobaczenia – zawołałam, biegnąc w stronę wyjścia.

Przy drzwiach natknęłam się na Edwarda. Nie śmiałam na niego spojrzeć, a on nie powiedział ani słowa. Zabarykadowałam się w samochodzie i oparłam głowę na kierownicy. Bałam się, bałam się Edwarda, bałam się swoich reakcji.

Siedziałam przy oknie i obserwowałam spacerującego po plaży Edwarda z psem. Wiedziałam, że w końcu będę musiała z nim porozmawiać, zasługiwałam na wyjaśnienia. Potrzebowałam dowodu, że to wszystko nie było jedynie snem.

Pobiegłam do łazienki. Nie ma mowy, żeby zobaczył, jaka jestem rozbita. Starannie wybrałam ubrania i zrobiłam makijaż, żeby zakryć ślady bezsennych nocy.

Nie zostawiając sobie możliwości ucieczki, zapukałam do drzwi, za którymi rozległo się szczekanie Pata. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, czułam ucisk w żołądku, wstrząsały mną dreszcze, miałam lodowate dłonie. Jednak wszystkie te symptomy zniknęły, gdy Edward otworzył drzwi. Ogarnęła mnie fala złości. Zapragnęłam uderzyć go z całej siły, chociaż najbardziej wkurzał mnie fakt, że jednocześnie chciałam go pocałować i znaleźć się w jego ramionach. Nie spodziewałam się tego typu emocji, i moja starannie przygotowana przed lustrem przemowa zupełnie wyleciała mi z głowy.

– Czego chcesz?

– Dzień dobry – wydukałam.

Edward westchnął i potarł dłonią twarz.

– Pospiesz się, mam dużo roboty.

Wyprostowałam się i stawiałam czoło jego spojrzeniu.

– Jesteś mi winien wyjaśnienie.

Zdziwienie na jego twarzy szybko przerodziło się w gniew.

– Niczego nie jestem ci winien.

– Jak możesz patrzeć na siebie w lustrze?

Spiorunował mnie wzrokiem i swoim starym zwyczajem zatrzęsnał mi drzwi przed nosem.

Pomimo nisko wiszących, czarnych chmur postanowiłam się przejść. Błąkałam się po plaży ponad godzinę, a gdy zawróciłam w stronę domu, dostrzegłam biegnącego ku mnie Pata. Poglaskałam go i ruszyłam w dalszą drogę. Przed domem Edwarda zaparkował samochód. Jego żona wysiadła, w momencie gdy tamtędy przechodziłam. Czułam na sobie jej wzrok.

– Jeszcze tu jesteś?

Opuściłam głowę i nic nie odpowiedziałam.

– Zamierzam porozmawiać z Abby i Jackiem, żeby się ciebie pozbyli.

Grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, natrafiłam na kluczyki do samochodu. Tego mi było trzeba, chociaż nie byłam wystarczająco szybka.

– Edward! – zawołała Megan.

– Już idę – odrzekł.

Zatrzasnęłam drzwiczki i ruszyłam z impetem.

Przez ponad dwie godziny jeździłam, przyciskając gaz do dechy. Zwolniłam dopiero wracając do wioski, akurat żeby zobaczyć wychodzącą od Abby i Jacka Megan. Najwyraźniej wszędzie czuła się jak u siebie w domu. Myślałam, że Mulranny mnie uzdrowi, a tymczasem stało się moim grobem.

Judith również o mnie zapomniała. Nie zapowiedziała swego przyjazdu, a teraz od ponad godziny rozmawiała na plaży z Megan. Gdy dostrzegłam, że idzie w moją stronę, czym prędzej chwyciłam torebkę, klucze i wybiegłam z domu.

– Diane! – zawołała za mną.

– Nie mam czasu.

– Co ci się stało?

– Nie twoja sprawa.

– Poczekaj – poprosiła, przytrzymując mnie za ramię.

– Puszczaj!

Wyrwałam się, wskoczyłam do samochodu i odjechałam.

Po dłuższej przejażdżce wróciłam do Mulranny. Skoro tamci byli pewnie u Abby i Jacka, dla mnie schronieniem mógł być pub. Pchnęłam drzwi, postanawiając się upić. Wdrapałam się na stołek i zamówiłam pierwszego drinka z długiej listy. Irlandia robi ze mnie alkoholiczkę.

Przechodziłam od śmiechu do łez. Opierając głowę na barze, przyglądałam się długiemu rządowi pustych szklaneczek. Chciałam wstać, żeby iść zapalić, ale spadłam ze stołka, jednak zamiast na podłodze, wylądowałam na piersi jakiegoś mężczyzny.

– Dziękuję – powiedziałam do nieznajomego, który mnie przytrzymał.

– Nie ma za co. Zapalisz?

– Przychodzisz w samą porę!

Skierowałam się w stronę tarasu, pokazując gestem, żeby za mną poszedł. Pomimo otaczającej nas mgły widziałam, że taksuje mnie wzrokiem. A niech się gapi, mam to gdzieś. Przyjęłam postawę głupawej blondynki. Śmiałam się jak idiotka z jego kawałów, których ni w ząb nie rozumiałam. Facet nie tracił czasu. Objął mnie w tali, gdy wracaliśmy do baru, zapuszczając żurawia w mój dekolt. Rzuciłam na niego okiem, nie był zły. W końcu Irlandczyk wart Irlandczyka. Mogłabym się nim posłużyć, żeby zapomnieć o Edwardzie. Zrobiłam słodkie oczy i zaproponowałam, żebyśmy się razem napili, na co przystał z radością.

– Poprosimy następną kolejkę – wybełkotałam do barmana.

– Diane, musisz już przestać.

– Nie, obsłuż nas, płacę ci. I mam prawo się zabawić!

Rzuciłam na bar pieniądze. Przede mną pojawiła się nowa szklaneczka, którą opróżniłam jednym haustem, i była to jedna szklaneczka za dużo. Bujałam w kosmosie, a co jakiś czas docierały do mnie odgłosy otoczenia.

– Nie zbliżaj się do niej!

Wszędzie rozpoznalabym ten głos. Edward. Na kogo tak krzyczał? Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że trzyma faceta za kołnierzyk. Powiedział do mnie coś niezrozumiałego.

– Spokojnie, koleś, to ona mnie zaczepiła – mężczyzna wyciągnął palec w moją stronę.

W ruch poszły pięści Edwarda i mężczyzna skończył na podłodze, po czym ulotnił się z szybkością błyskawicy.

– Och... co ja narobiłam – jęknęłam.

– Ciekawsze jest to, czego jeszcze nie zdążyłaś zrobić – odezwała się Judith, której wcześniej nie zauważyłam.

– Zamknij się.

Rzuciwszy ten wyszukany zwrot, próbowałam odwrócić się i odejść, ale zakręciło mi się w głowie i podłoga przechyliła się niebezpiecznie.

– Braciszku, Diane jest gotowa do wyjścia – powiedziała Judith. – Poczekaj, Diane, pomożemy ci.

– Zostawcie mnie w spokoju, poradzę sobie sama. I przestańcie się wtrącać w moje sprawy!

Zatrzymałam się i odwróciłam w ich stronę. Jeśli chciałam wygarnąć im, co o nich myślę, to teraz albo nigdy. Próbowałam opanować wzrok, bo miałam przed sobą dwóch Edwardów, zamiast jednego.

– Posłuchaj mnie uważnie – wykrzyczałam. – Nie masz prawa wtrącać się w moje życie. Straciłeś to prawo tamtego wieczora. Mogę robić...

– Zamknij się – rozkazał. – Narobiłaś już wystarczająco dużo głupstw.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podniósł mnie i przerzucił przez ramię jak worek z kartoflami. Okładałam go pięściami i wrywałam się z całych sił.

– Puszczaj, łajdaku!

Nie zwolnił uścisku i maszerował w stronę parkingu. Bez słowa włożył mnie do swojego samochodu. Odpląnąłam w sen.

Odzyskałam świadomość na swoim łóżku. Ktoś mnie rozebrał.

– Pewnie masz niezłego kaca – powiedziała Judith.

– Zostaw mnie w spokoju.

– O nie.

Poprawiła mi kołdrę i odeszła.

Kilka minut później ponownie usłyszałam kroki. Otworzyłam oczy. Edward postawił na stoliku nocnym szklankę wody i położył dłoń na moim czole.

– Nie dotykaj mnie.

Spróbowałam się podnieść.

– Nie wstawaj.

Edward popchnął mnie delikatnie. Nie miałam siły z nim walczyć.

– To wszystko przez ciebie – powiedziałam, płacząc. – Jesteś łajdakiem.

– Wiem.

Schowałam się pod kołdrę. Słyszałam jak odchodzi, a potem trzasnęły drzwi.

Wszystko mnie bolało. Każdy krok rezonował w mojej czaszce. Doszłam do łazienki i musiałam przytrzymać się umywalki. Przeraziło mnie to, co zobaczyłam w lustrze: opuchnięta twarz, tusz rozmazany pod oczami, włosy przypominające ptasie gniazdo. Było mi tak wstyd, że nie śmiałam spojrzeć na obrączkę, a tym bardziej jej dotknąć. Kilkakrotnie wymyłam zęby, żeby zabić posmak alkoholu. Jedno było pewne: przestaję pić.

Judith siedziała na kanapie, przeglądając kolorowy magazyn.

– Co ty tu jeszcze robisz?

– Dlaczego tak się złościś?

– Wygraliście! Wyjeżdżam z tego waszego cholernego zadupia. Wszyscy jesteście porąbani.

– O czym ty mówisz?

– Zawsze mieliście mnie głęboko gdzieś.

– Co? Bardzo się o ciebie wczoraj martwiliśmy.

– Jasne.

Zadarłam głowę do nieba. Judith poszła do kuchni, a ja rzuciłam się na fotel.

Wróciła pięć minut później z talerzem w ręku.

– Zjedz coś, a potem porozmawiamy.

Jadłam śniadanie, połykając łzy. Opróżniłam filiżankę kawy, i Judith nalała mi następną. Potem zapaliła papierosa i podała mi.

– Dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że wracasz? – zapytałam.

– Przecież nie dlatego tak się urządziłaś wczoraj wieczorem?

– Ty byłaś kroplą przepelniającą kielich. Nie wydaje mi się, że tak dużo wypijałam. Naprawdę było tak źle?

– Uwierz mi, powinnaś się cieszyć, że nic nie pamiętasz.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Powiedz mi, co się dzieje. Odkąd przyjechałam, znalazłam się w środku koszmaru. Zdzira wróciła, Edward rzuca się z pięściami na pierwszego mężczyznę, który się do ciebie zbliża, a ty w pubie zachowujesz się jak suka w rui.

Nadal trzymając dłonie przy twarzy, spojrzałam na nią przez rozchylone palce.

– Jaka dzzira?

– Megan. A któż by inny?

– Nazywasz żonę swojego brata dzzirą?

– A skąd ci przyszło do głowy, że to jego żona? Chybabym wiedziała, gdyby mój brat się ożenił!

– Ale tak właśnie mi się przedstawiła, a on nie zaprzeczył.

– Idiota. Czekał, czekał... jednego nie rozumiem. Byłaś u niego, gdy zwała się tam w środku nocy?

– Tak – odrzekłam, spuszczać wzrok.

– Przespałaś się z nim?

– Nie zdążyliśmy.

– Cholera! Ta dopiero ma radar. A Edward zupełnie nie ma jaj.

Judith wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Od jej chodzenia zakręciło mi się w głowie. Zapaliłam następnego papierosa i podeszłam do okna. Zobaczyłam spacerującego po plaży Edwarda. Oparłam czoło o zimną szybę.

– Diane.

– Co?

– Kochasz go?

– Może... Coś mnie do niego przyciąga. Gdy byliśmy tylko we dwoje, było mi cudownie... ale to niczego nie zmienia, bo nawet jeśli nie są małżeństwem, są razem.

– Nie, mylisz się.

Judith usiadła na kanapie, zapaliła papierosa i przyglądała mi się mrużąc oczy.

– Jeśli się dowie, że ci o tym opowiedziałam, zabije mnie. Ale mam to gdzieś. Usiądź.

Zrobiłam to, o co prosiła.

– Nie tylko śmierć naszych rodziców wpłynęła na okropny charakter Edwarda. Związek z Megan wyrócił jego życie do góry nogami. To dlatego tak szybko przyjechałam po desperackim telefonie Abby.

– Kim jest ta kobieta?

– To karierowiczka, bezwzględna zdzira. Zawsze zależało jej na sukcesie i pozycji socjalnej, nigdy nie przebierała w środkach. Zaczynała od zera i ciężko pracowała, żeby dojść do tego, co ma teraz. Jest łowcą głów w największej firmie rekrutacyjnej w Dublinie. Bez skrupułów wyparła się własnej matki i ojca, żeby osiągnąć cel. Jest inteligentna, fałszywa, bezlitosna, i doskonale manipuluje ludźmi.

– I Edward pokochał taką kobietę? – Zaśmiałam się szyderczo.

– Nie wiem, ale to jedyna kobieta, z którą był kiedykolwiek w związku.

– Jest miłością jego życia?

– W pewnym sensie.

Z trudem powstrzymywałam mdłości.

– Musisz wiedzieć, że zanim ją spotkał, nie chciał się z nikim wiązać. Zawsze myślał, że miłosne relacje prowadzą do nieszczęścia, że miłość przynosi jedynie cierpienie, że zostanie zdradzony i opuszczony. Interesowały go tylko przelotne romanse, aż na jego drodze stanęła Megan. Z początku chciał ją zdobyć jak trofeum. Ale ona zaczęła go zwodzić, niczym zasłaniająca się religijnością modliszka. Zupełnie go omotała, zanim uległa jego awansom. Edwarda uwiodła jej determina-

cja, pewność siebie, pasja. Oplotła go pajęczyną słodkich słówek, odgrywała świętą, która pragnie założyć rodzinę, wierzy w miłość...

Gotowało się we mnie, miałam ochotę kogoś zamordować. Jak mógł dać się zwodzić komuś takiemu?

– A ty jej nie wierzyłaś?

– Zaczęłam o nią wypytywać. Coś mi nie pasowało. Była zbyt światowa, zbyt słodka, żeby to mogło być szczere. Dowiedziałam się, że znała Edwarda z widzenia i od początku zastawiła na niego sidła. Chciała się posłużyć jego wizerunkiem mrocznego, udrećzonego artysty, żeby złagodzić swoją reputację rekina bez serca. Powiedziałam o wszystkim Edwardowi i prawie go straciłam. Nie odzywaliśmy się do siebie przez wiele miesięcy.

– I jak to się między nimi skończyło? – spytałam bez tchu.

– Spokojnie, Diane... To smutna historia. Edward przeżywał właśnie bardzo trudny okres w pracy. Pracował dla czasopisma, ale chciał się uniezależnić. Megan stanowczo sprzeciwiała się jego planom, chyba obawiała się, że obniży się im poziom życia. Ale, mówiąc krótko, mój brat zawsze był taki, jaki jest, jednak wtedy stał się naprawdę nie do wytrzymania. Był sfrustrowany, miał okropne napady złości. Klócili się bez przerwy, ale potrzebował jej, bo go utrzymywała. Cała ta sytuacja spowodowała, że Megan popełniła błąd.... Chociaż, jak możesz się domyślić, niewiele jej potrzeba.

Zacisnęłam pięści, wzbierała we mnie złość, myślałam, że za chwilę wybuchnę.

– Możesz powiedzieć coś więcej? – wysyczałam przez zaciśnięte zęby.

– Edward wyjechał zrobić jakiś reportaż. Gdy wrócił, znalazł ją w łóżku z jednym ze swoich kolegów.

– Okropne! – krzyknęłam, skacząc na równe nogi.

– Obił tamtemu ryj. Facet zawdzięcza życie tylko błaganiom Megan. Potem wrzucił wszystkie swoje rzeczy do samochodu. Błagała go, żeby został, że to się nigdy więcej nie powtórzy, że razem pokonają trudności, że kocha go nad życie. Ale Edward nie chciał o niczym słyszeć.

Czułam się jak lew w klatce, krążyłam po pokoju, nie spuszczać wzroku z Judith.

– Domyślam się.

– Zamierzał prosić ją o rękę, gdy ustabilizują się jego problemy w pracy. Możesz sobie wyobrazić, jak go to wszystko załamało.

– Jak sobie z tym poradził?

– Tak jak widzisz. Zaszył się na odludziu z psem. Wyjechał na wyspy Aran. Na dwa miesiące zniknął z powierzchni ziemi. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Zastanawiałam się nawet, czy nie zgłosić na policji jego zaginięcia. Ale pewnego dnia zjawił się u Abby i Jacka i poprosił o klucze do domu rodziców. I tu zamieszkał. Wtedy zdecydował, że żadna kobieta nie przysporzy mu już cierpień, że zostanie sam.

– Dlaczego Megan przyjechała? Czego chce?

– Chce Edwarda. Na swój sposób kocha go.

Opadły mi ramiona.

– Nigdy o nim nie zapomniała – mówiła dalej Judith, widząc moje niedowierzące spojrzenie. – Od pięciu lat robi wszystko, żeby go odzyskać. Nawet przyszła do mnie się wyplakać. Megan jest jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochał. Pomimo tego, co zrobiła, wiem, że spotykają się czasem, gdy Edward jedzie do Dublina do pracy. Nie mogę uwierzyć, że go namierzyła! Zawsze potrafiła go odnaleźć. A kiedy już się spotkają, Edward nigdy nie nocuje u mnie. Ulega pokusie, jak narkoman.

– Chce go zatrzymać za wszelką cenę – wycodziłam.

– Rzekłabym raczej, że trzymała, bo pojawiłaś się ty i zmieniłaś go. Nie wiem, jak ci się to udało. Musisz mieć jakiś sekret. Przywróciłaś go do świata żywych, a on zabrał cię do swojego azylu. Wyspy Aran są dla niego świętą ziemią.

– I co z tego...

Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Zapaliłam papierosa, zaciągając się mocno, żeby się uspokoić.

– Martwię się o niego – rzekła Judith. – W chwili, gdy był gotowy spróbować czegoś nowego, zbliżyć się do ciebie, pojawia się Megan i zaklina się na wszystkie świętości, że nikogo innego nie ma, że jest gotowa rzucić wszystko i zamieszkać z nim na tym odludziu. Edward czuje się zupełnie zagubiony.

– Gdy przyjechała, nawet nie próbował mnie zatrzymać, a kiedy poszłam poprosić go o wyjaśnienia, zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Dla mnie wszystko jest jasne, już dokonał wyboru. Mieszka u niego, prawda?

– Nie, wysłał ją do hotelu. Widziałam jak zareagował wczoraj, gdy zadzwonił właściciel pubu. Szalał z niepokoju. A potem, gdy zobaczył cię z tym facetem... szczerze mówiąc, aż się go przestraszyłam.

– Założmy, że ci wierzę. Co mam niby teraz zrobić?

– Wszystko! Musisz zrobić wszystko. Zależy ci na nim, prawda?

Odwróciłam się do okna, żeby odszukać go wzrokiem. Cały czas był na plaży, bardziej samotny i piękny niż kiedykolwiek.

– Oczywiście.

– No to dalej, ruszaj się! Uwiedź go, zawrót mu w głowie, przekonaj go, że to ty jesteś kobietą jego życia, a nie ta zdzira. Pokaż, na co cię stać. To nie musi być czysta walka. Pomiędzy tobą a nią wszystkie chwytaki są dozwolone. Będiesz potrzebowała wiele determinacji, żeby skruszyć jego skorupę. A jeszcze musisz się liczyć z tym, że odrzuci was obie i zaszyje się gdzieś na łonie natury.

Rozdział 9

Judith przed wyjściem, kazała mi przysiąc na Biblię, że czym prędzej przystąpię do ataku. Tyle że zanim mogłam podjąć jakąkolwiek walkę, musiałam uporać się

z koszmarnym kacem. Miałam właśnie położyć się wcześniej spać, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Ten piekielny dzień chyba nigdy się nie skończy. Byłam tak zderwowana, że widząc przed drzwiami słynną Megan, prawie wybuchnęłam śmiechem. Ani chwili wytchnienia. Obejrzała mnie od stóp do głów, i ja również skorzystałam z okazji, żeby dokładniej jej się przyjrzeć. Stała, wyniośle piękna, z wysoko uniesioną głową, dumna i zdeterminowana. Wszystkie kobiety wyglądały przy niej jak licealne podlotki, podczas gdy ona była seksowną bizneswoman na weekendowym wypadzie, w drogich džinsach, szalowych butach, nieskałanych najmniejszym śladem błota, z idealnie wypielegnowanymi paznokciami. Tymczasem mój dzisiejszy wygląd pozostawiał wiele do życzenia.

– Diana, prawda?

– Nie, Diane. Czego chcesz?

– Słyszałam, że zeszłej nocy Edward przybiegł ci z pomocą.

– A co cię to obchodzi?

– Zostaw go w spokoju. On jest mój.

Zaśmiałam się jej w twarz.

– Możesz się śmiać do woli. Nie trać czasu. Nie jesteś w jego typie. Popatrz tylko na siebie. – Zrobiła zde gustowaną minę.

– Nie stać cię na nic lepszego? – zapytałam. – Bo jeśli myślisz, że zamierzam ci ustąpić pola, to bardzo się mylisz.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Wzbudziłaś w nim litość swoim nieszczęsnym losem?

Zaczęłam dyszeć, zachwiałam się na nogach, poczułam napływające do oczu łzy i oparłam się o framugę drzwi.

– Biedna, mała myszka – dodała Megan.

Usłyszałam odgłos motoru. Megan zachichotała.

– Wspaniale, jedzie Edward. Zobaczy cię z najlepszej strony.

Edward wysiadł z samochodu i do nas podszedł.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał Megan.

Stałam z opuszczoną głową.

– Dowiedziałam się o nieszczęściu, jakie spotkało Diane. Przyszedłam złożyć jej wyrazy współczucia z powodu śmierci męża i córki.

Trzeba przyznać, że umiała kłamać.

– Skończyłaś?

Mówił tak oschłym głosem, że aż podniosłam głowę. Wpatrywał się w nią ze złością. Ona natomiast zrobiła wielce zatroskaną minę, odwróciła się do mnie i położyła dłoń na moim ramieniu.

– Przykro mi, nie chciałam poruszać bolesnego tematu. Daj znać, jeśli będziesz nas potrzebowała. Może kiedy poczujesz się lepiej, urządzimy sobie babski wieczór. Dobrze ci to zrobi...

– Wystarczy, Megan – przerwał jej Edward. – Rozumiemy. Weź klucze i idź do

domu.

Pocałowała mnie w policzek. Pocałunek Judasza. Odwróciła się na pięcie, ale po chwili przystanęła.

– Edward, idziesz?

– Nie, muszę porozmawiać z Diane.

Od razu poprawił mi się humor. Uśmiechnęła się i zbliżyła się do niego.

– Nie spiesz się, mam zamiar przygotować nam romantyczną kolację.

Wspięła się na palce i pocałowała go w zaciśnięte usta. Dostrzegłam, jak jego ręka dotyka jej talii i ponownie się załamalam. Megan puściła do mnie oczko i poszła w stronę domu. Zdawałam sobie sprawę, że patrzę na Edwarda maślanymi oczami, ale nic nie mogłam na to poradzić. Włożył dłoń we włosy i unikał mojego wzroku. Najwyraźniej zastanawiał się, dlaczego ze mną został. Postanowiłam ułatwić mu sprawę.

– Nie każ jej czekać.

– Co ci przyszło do głowy wczoraj wieczorem?

– Musiałam utopić smutki w alkoholu.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał.

– Żebyś wziął swoje życie w swoje ręce, i... pewnych decyzji.

Zapalił papierosa i odwrócił się do mnie plecami.

– To nie takie proste. Nie potrafię ci odpowiedzieć, jeszcze nie.

Oddalił się bez słowa.

– Edward.

Zatrzymał się.

– Nie wykluczaj mnie ze swojego życia.

– Nawet gdybym chciał, nie byłoby to możliwe.

Skierował się w stronę domu. Megan musiała nas obserwować, bo gdy tylko doszedł do ganku, otworzyła drzwi i wciągnęła go do środka. Wojna ledwie się rozpoczęła, a Megan miała już sporą przewagę.

Doskonale go znała, wiedziała, co i kiedy powiedzieć. Łączyła ich wspólna przeszłość, którą mogła wykorzystać niczym broń. Ja stapałam przy nim zawsze po cienkim lodzie. Cóż nas właściwie łączyło poza sąsiedzkimi kłótniami i kilkutygodniowym rozejmem? Rozmyślałam o tym długo, aż w końcu zasnęłam.

Być może to o niczym nie świadczyło, ale ta kobieta nie spędziła u niego nocy. Przyjechała rano, gdy Edward od dłuższego czasu był już na plaży, uzbrojony w aparat. Umierałam ze śmiechu, patrząc, jak Megan próbuje iść po piasku w szpilkach, a Pat skacze na nią. Ten zwariowany pies był z pewnością moim najlepszym sprzymierzeńcem. Zanim rzucił się na kaszmirowy płaszcz Megan, wykapał się w morzu i wytarzał w piasku. Nagle mnie oświeciło. Zrozumiałam, co łączy mnie z Edwardem, i na tym polu Megan nie mogła ze mną rywalizować.

Jakkolwiek śmiesznie to brzmi, moim atutem była wełniana czapka i szalik.

Z lekkim sercem poszłam na plażę, zdeterminowana, że pokażę tej pindzie, że wcale nie ma nade mną przewagi. Podeszłam cicho z tyłu, tak że nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności. Usłyszałam, jak mówi do siebie:

– Nie ma mowy, żebym zgniła w tej dziurze. Z pewnością uda mi się go przekonać do powrotu do Dublina. Przy okazji pozbędzie się tego okropnego psa.

A to mała!

– Cześć, Megan! – wykrzyknęłam, stając przed nią.

Zagwizdałam. Pat przyleciał natychmiast i zaczął na mnie skakać. Pogłaskałam go, a widząc, że podnoszę patyk, zaszczekał radośnie. Rzuciłam patyk, puściłam oko do rywalki i poszłam na plażę. Edward dojrzał mnie z daleka. Powitałam go gestem dłoni i kontynuowałam zabawę z psem. Wiedział, że tu jestem, to wystarczyło. Stopniowo zbliżałam się do niego, ale nie patrzyłam w jego stronę, cały czas skoncentrowana na zabawie z psem.

– Diane – usłyszałam, jak mnie woła.

Z trudem ukrywałam uśmiech. Zanim zdążyłam się odwrócić, nadbiegł Pat i znowu na mnie skoczył. Nic dziwnego, w dłoni dzierżyłam jego patyk. Opadłam na piasek i ogarnęła mnie fala niepowstrzymanego śmiechu. Dokładnie tego chciałam. A mój wierny druh przyszedł mi z pomocą, liżąc mnie po twarzy. Nagle ktoś wyjął mi patyk z ręki i rzucił Patowi. Otworzyłam oczy. Edward stał nade mną, z nogami po obu stronach mojego ciała. Zauważyłam jego podkrążone oczy i napięte mięśnie twarzy, ale mimo wszystko uśmiechał się do mnie.

– Żebyś widziała, jak wyglądasz!

– Żebyś wiedział, jak mało mnie to obchodzi!

Wyciągnął ręce, uchwyciłam je i podniosłam się. Staliśmy tak kilka chwil, po czym otarł mi kciukiem piasek z policzka. Dojrzałam w jego twarzy ślady czułości, którą okazywał mi ostatnimi czasy. Nadarzyła się stosowna okazja.

– Przejdziemy się? – zaproponowałam.

Opuścił dłoń, którą cały czas trzymał na moim policzku i spojrzał w kierunku morza.

– Właśnie miałem wracać. Muszę wywołać filmy.

Koniec zabawy. Poszedł pozbierać swój sprzęt. Westchnęłam ciężko. Ale ku mojemu zaskoczeniu, dostrzegłam, że wraca w moją stronę.

– Ciągle chcesz zobaczyć te zdjęcia z wysp Aran?

– Oczywiście.

– To chodź, dam ci je.

W milczeniu przeszliśmy przez plażę. Prawie już zapomniałam o Megan. Czekała na nas, oparta o samochód.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał oschle Edward. – Przecież nienawidzisz plaży.

– Chciałam się z tobą zobaczyć. Musimy porozmawiać o moich planach.

– Nie mam czasu. Mam pracę.

– Mogę poczekać.

Edward poszedł dalej, ja za nim, za mną Megan. Dlaczego nie potrafiła zrozumieć, że przeszkadza? Otworzył drzwi i wszedł do domu. Zostałam na progu, a Megan przepchnęła się obok mnie, niezauważona przez Edwarda, i również weszła do środka.

– Powiedziałem ci, nie teraz – powiedział Edward do niej.

– A ona, co ona tu robi?

– Edward ma dla mnie zdjęcia, to wszystko. Zaraz uciekam – odrzekłam.

Poszedł na górę, a ja zapaliłam papierosa. Megan nie ruszyła się z miejsca, jak prawdziwy pies obronny w wersji na obcasach. Dwie minuty później Edward zszedł ze schodów z ogromną kopertą w ręce. Wręczył mi ją bez słowa.

– Dziękuję. Do zobaczenia.

– Kiedy zechcesz.

Uśmiechnęłam się do niego na pożegnanie i poszłam w stronę domu. Słyszałam, jak Megan błagała, żeby pozwolił jej zostać. Jednak splawił ją.

Doszłam do swoich drzwi.

– Poczekaj chwilę! – usłyszałam głos Megan.

Nadeszła moja kolej, żeby upajać się wygraną bitwą. Odwróciłam się i obdarzyłam ją moim najbardziej fałszywym uśmiechem. Gniew sprawiał, że robiła się brzydka.

– Co to za zdjęcia?

– To? – pomachałam jej kopertą przed nosem.

– Nie drażnij się ze mną!

– To zdjęcia, które Edward zrobił mnie i nam obojgu na wyspach Aran.

– Kłamiesz.

– Nie wierzysz? Ależ to najszczerza prawda. Swoją drogą, byliśmy w uroczym pensjonacie, z wygodnymi łóżkami. Wspaniały zakątek dla zakochanych.

– Dawaj to!

Wyrwała mi z ręki kopertę. Mimo iż nie wierzyłam w Boga, modliłam się, żeby to była prawda. Widząc złość i zazdrość malującą się na twarzy Megan, obiecałam w duchu, że zapalę świeczkę w pierwszym napotkanym kościele. Abby z pewnością wskaże mi drogę.

– To niemożliwe... – powiedziała.

– A jednak.

Gdyby miała w oczach pistolety, byłabym podziurawiona kulami. Rzuciła we mnie zdjęciami i pobiegła do samochodu.

– Zapłacisz mi za to!

Spojrzałam na pierwszą odbitkę. Na jej miejscu wpadłabym w histerię.

Nie zaszczyciłam jej odpowiedzią. Weszłam do domu, żeby obejrzeć zdjęcia.

Następnego wieczora postanowiłam udać się do pubu, z nadzieją, że spotkam tam Edwarda. Właściciel powitał mnie szerokim uśmiechem, gdy wdrapałam się na taboret.

– Przepraszam za ostatni wieczór.

– Nic się nie stało, wszystkim się zdarza – odparł, stawiając przede mną piwo. – Na koszt firmy.

– Dziękuję.

Spojrzał w stronę wejścia, wznosił oczy do nieba i zwrócił się do mnie:

– Powodzenia.

– Słucham?

– Dobry wieczór, Diane – powiedziała Megan.

Usiadła z gracją obok mnie i zamówiła kieliszek białego wina. Jeśli teraz pojawi się Edward, nie miałam przy niej żadnych szans. Trzeba było przyznać, że nie oparłby się jej żaden mężczyzna. Była piękna, w czarnej sukience, nie nazbyt wyzywającej, ale seksownej, eleganckiej i odsłaniającej dokładnie tyle ciała, żeby patrzący nabrali ochoty, aby odkryć więcej.

– Chciałam ci zaproponować pewien układ – odezwała się po chwili.

Odwróciłam się do niej, patrząc nieufnie.

– Jestem gotowa uznać, że coś między wami zaistniało – zaczęła. – Niezła z ciebie zawodniczka, jestem pełna podziwu.

To coś nowego.

– Do czego zmierzasz?

– Cokolwiek zamierzasz zrobić, Edward i tak należy do mnie, ale zawróciłaś mi w głowie i muszę się z tym pogodzić. Dlatego postanowiłam usunąć się na kilka dni, uwiedzisz go, prześpicie się ze sobą, a potem będzie mógł zająć się czymś innym... i wróci wreszcie do mnie.

– Myślę, że powinnaś się leczyć.

– Nie udawaj niewiniątka. Coś mi mówi, że od śmierci męża nie miałaś w łóżku faceta.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Edward jest doskonałym partnerem, ponownie odnajdziesz radość seksu. Wyświadczam ci przysługę.

To zaczynało być naprawdę odrażające. Nie potrafiłam znaleźć słów.

– Odmawiasz? Tym gorzej dla ciebie.

Obrzuciła mnie spojrzeniem, zanim wyciągnęła z torebki telefon i wystukała numer.

– Edward, to ja – zaszczebiotała. – Jestem w pubie... Myślałam o tobie. Zobaczymy się dziś wieczorem?... Musimy porozmawiać...

W miarę trwania rozmowy jej głos się zmieniał, stawał się bardziej delikatny i ujmujący, podczas gdy bawiła się palcami nieistniejącym okruszkiem.

– Przepraszam za wczoraj, wiem, że potrzebujesz być sam, gdy pracujesz.

Nie wiedziałam oczywiście, co jej odpowiedział Edward, ale wiele mogłam się domyślić z wypowiedzi Megan.

– I nie powinnam wyrzucać ci czasu, jaki spędzasz z Diane – kontynuowała. –

Jesteś dobrym człowiekiem, pomagasz jej dojść do siebie. To nieładne z mojej strony, po tym, co ci zrobiłam.

Wzbierała we mnie złość. Chyba Edward nie da się na to nabrać.

– Ale tak ciężko mi widzieć cię z inną kobietą – biadoliła Megan. – Zdaję sobie sprawę, jak bardzo cię zraniłam. Chciałabym, żebyśmy się ponownie odnaleźli... tak jak kiedyś...

Śmiechu warte. To nie może się jej udać. Po prostu nie może! Edward nie da się nabrać na tak grubymi nićmi szytą pułapkę, nie wpadnie w szpony tej udającej słodkiego kotka tygrysicy!

– Proszę cię – wyszeptała – powiedz tak. Tylko na dziś wieczór, proszę. Porozmawiamy o mojej przeprowadzce tutaj...

Na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech.

– Dziękuję... – westchnęła, resztkami sił. – Czekam na ciebie.

Co za idiota! Mała rozłączyła się, wyjęła z torebki lusterko i sprawdziła makiżaż. Potem odwróciła się w moją stronę.

– Edward nigdy się nie zmieni, a ja doskonale wiem, co chce usłyszeć.

– Jesteś odrażająca, jak możesz mówić o nim w ten sposób? Jak możesz tak kłamać?

Skwitowała moje słowa machnięciem ręki.

– Mała rada: radzę ci nie czekać na niego dziś wieczorem. – Roześmiała się. – Biedna Diane, ostrzegałam cię!

Wyszłam na taras i mocno zaciągnęłam się papierosem.

Kiedy wróciłam do pubu, zobaczyłam Edwarda razem z Megan, gotowych do wyjścia. Otoczyła go wokół talii ramieniem, a on jej na to pozwolił. Zacisnęłam pięści. Megan zauważyła mnie pierwsza.

– Czy to aby nie Diane? – zapytała.

– Tak – odrzekł Edward, dostrzegając mnie.

Zaczęła ciągnąć go w moim kierunku. Nie spuszczaaliśmy się z Edwardem z oczu.

– Dobry wieczór – powiedziała Megan. – Jaka szkoda, że nie wiedziałam, że tu będziesz. Mogłybyśmy napić się razem i lepiej poznać.

Obdarzyła mnie przyklejonym do twarzy uśmiechem. Edward obserwował ją wzrokiem, którego jeszcze u niego nie widziałam. Zdumiona talentami aktorskimi Megan, pozwoliłam jej kontynuować, nie mogąc znaleźć odpowiedniej riposty.

– Musimy cię opuścić, mam zarezerwowany stół. Może niedługo to nadrobimy?

Zupełnie wytrącona z równowagi, bezmyślnie pokiwałam głową.

– Poczekaj w samochodzie – powiedział do niej Edward.

Pocałowała go w policzek i rzuciła mi „do zobaczenia”. Podążałam za nią wzrokiem, podobnie jak Edward. Zatrzymała się przy drzwiach, odwróciła się do nas i pomachała dłonią.

– Naprawdę zamierzasz spędzić z nią wieczór?

- Musimy się rozmówić.
 - Nie zapominaj o tym, co ci zrobiła.
- Spojrzenie Edwarda spochmurniało.
- Nie znasz jej.
 - Nie pozwól, żeby cię skrzywdziła.
 - Zmieniła się.

Zamierzał się odwrócić, ale przytrzymałam go za kurtkę.

- Jesteś pewien?
- Dobranoc.

Puściłam go, spojrzał na mnie po raz ostatni i poszedł w kierunku wyjścia.

Nie wrócił późno. Zamknął się w ciemni – widziałam prześwitujące przez szpary w żaluzjach czerwone światło. Megan musiała ponieść porażkę.

Następnego ranka minął mój dobry humor, gdy dostrzegłam ich na plaży, skryta za zasłonami pokoju. Na pewno kleiła się do niego, trzepocząc rzęsami. Jednak Edward trzymał ją na dystans. Zaczęli iść w stronę domów i Edward odprowadził ją do samochodu. Widziałam jego obojętną twarz, gdy Megan położyła mu dłonie na piersi. Pokiwał głową i cofnął się. Megan wspięła się na palce, żeby pocałować go w policzek, wsiadła do samochodu i odjechała. Edward zapalił papierosa i poszedł zamknąć się w domu.

Kilka godzin później rozległo się pukanie do moich drzwi. Otworzyłam i zobaczyłam Edwarda.

- Mogę wejść?

Odsunęłam się, żeby go przepuścić. Zaczął krążyć po pokoju, wyraźnie zdenerwowany.

- Masz mi coś do powiedzenia?
- Wyjeżdżam.
- Jak to, wyjeżdżasz?

Odwrócił się i podszedł do mnie.

- Tylko na kilka dni. Muszę przemyśleć sprawę.
- Rozumiem. A Megan co zamierza robić?
- Zostaje w hotelu.

Dotknęłam jego zarośniętego policzka i delikatnie przesunęłam palcem po jego podkrażonych oczach. Wyglądał na coraz bardziej zmęczonego, był u kresu sił.

- Uważaj na siebie.

Nie spuszczał ze mnie wzroku. Niespodziewanie wziął mnie w ramiona i mocno do siebie przytulił, chowając głowę w zagłębienie mojej szyi. Przywarłam do niego, nie potrafiąc opanować łez. Podniósł głowę, pocałował moją skroń, odsunął się i wyszedł bez słowa.

Po jego odejściu przygnębiona kręciłam się bez celu po domku.

Dni mijały i zlewały się w jedno, napięcie zaczęło opadać. Nie wychodziłam na zewnątrz, bo nie chciałam natknąć się na Megan i rozpocząć nowej batalii. Nic

dziwnego, że Edward postanowił uciec. Nie dawał żadnego znaku życia, ale wcale mu się nie dziwiłam. Godzinami przesiadywałam w fotelu, patrząc na zatokę Mulranny. Cofałam się ścieżką czasu, rozmyślałam o śmierci Colina i Klary, o moim przyjeździe do Irlandii, spotkaniu z Edwardem.

Któregoś popołudnia zadzwonił telefon. Zobaczyłam na wyświetlaczu imię Feliksa i przez chwilę zastanawiałam się, czy odebrać.

– Cześć.

– Nie utonęłaś jeszcze w piwie?

– Czasami jesteś taki dziecinny. Co nowego w Paryżu?

– Ach, nic szczególnego. A u ciebie?

– Też nic ciekawego.

– Masz dziwny głos. Coś nie tak?

– Nie, nie, wszystko w porządku.

– Co robisz w tej chwili?

– Myślę o przyszłości.

– I?

– Jestem zagubiona, ale mam nadzieję wkrótce znaleźć odpowiedzi.

– Daj znać.

– Obiecuję. No to kończę.

Rozłączyłam się i zapaliłam papierosa.

Edwarda nie było już od tygodnia. A ja od tygodnia analizowałam sytuację na wszystkie możliwe sposoby i rozważałam wszelkie możliwe scenariusze. Gdy pewnego wieczora usłyszałam pukanie do drzwi, wiedziałam, że nadszedł moment prawdy.

Na progu stał bardzo poważny Edward. Spojrzał mi w oczy i ogarnął mnie strach, a serce zaczęło walić jak szalone. Wszedł bez słowa i stanął przy oknie w salonie. Zbliżyłam się do niego. Przyłożył dłoń do twarzy i ciężko westchnął.

– Przyjazd Megan zupełnie mnie wytrącił z równowagi. Sytuacja mnie przerastała, chociaż w głębi duszy od dawna znałem wszystkie odpowiedzi. Jeśli od początku byłbym ze sobą szczery, uniknąłbym całego tego cyrku.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytałam drżącym głosem.

– Poprosiłem Megan, żeby wyjechała, żeby wróciła do siebie, do Dublina.

– Jesteś pewien?

– Zniknęła z mojego życia, raz na zawsze. To skończone. Teraz jesteśmy tylko my dwoje, tylko my.

Nie mogłam wykrztusić słowa. Wpatrywałam się w niego – jeszcze nigdy nie był tak spokojny i odprężony jak w tej chwili. Uśmiechnął się i objął mnie w talii. Złapałam się jego koszuli, żeby utrzymać równowagę. Uciekłam przed intensywnością jego spojrzenia. Oparł czoło na moim.

– Diane... chciałbym z tobą coś zbudować... ko...

Położyłam mu palce na ustach. W pokoju zapanowała cisza, słyszałam tylko

dudnienie mojego serca. Wpatrywałam się w swoje dłonie, płasko leżące na piersi Edwarda, czułam na skórze jego oddech. Uwolniłam się z jego objęć i opadłam na kanapę. Poszedł za mną, usiadł naprzeciwko mnie na niskim stoliku i wziął w ręce moje dłonie.

– Zaczniemy wszystko od początku – powiedział. – Nie panikuj.

Spojrzałam mu w oczy. Czułość i miłość, jakie w nich zobaczyłam, wstrząsnęły mną. Musiałam coś powiedzieć.

– Posłuchaj mnie, dobrze?

Uśmiechnął się, a ja uścisnęłam jego dłonie. Wzięłam głęboki oddech.

– Nie sądziłam, że będzie mi tak ciężko... gdy wyjechałeś. Dużo rozmyślałam o naszej znajomości. Odkąd pojawiłeś się w moim życiu, ponownie nabrałam ochoty, żeby walczyć, śmiać się, żyć... Stałeś się dla mnie taki ważny, niemalże niezbędny... Wierzyłam w to... tak bardzo w to wierzyłam, ale prawda jest taka, że pograżyłam się w iluzji, że wypełnisz istniejącą we mnie pustkę... a ja... będę potrafiła na nowo pokochać...

Zaczął łamać mi się głos i nawet nie próbowałam powstrzymać łez. Drżącymi rękami jeszcze mocniej ścisnęłam jego dłonie. Patrzył na mnie z bólem w oczach. Jednak musiałam powiedzieć wszystko do końca.

– Ale nie jestem gotowa... Niosę ze sobą za duży bagaż. Nie potrafię zapomnieć o Colinie, tak jak ty pozbyłeś się Megan. Jeśli będziemy razem, wcześniej czy później zacznę ci wyrzucać, że nie jesteś nim... że jesteś sobą. Nie chcę tego. Nie możesz być moją podporą, moim lekarstwem, jesteś godzien bezwarunkowej miłości. Ktoś powinien pokochać cię dla ciebie samego, naprawdę na to zasługujesz. I wiem, że... nie kocham cię, nie tak, jak powinnam. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Muszę najpierw odnaleźć samą siebie, stanąć na nogi, żeby nie być zdaną na niczyją pomoc. Tylko wtedy mogę naprawdę pokochać. Tak całkowicie. Rozumiesz?

Puścił moje dłonie, jakbym parzyła i zacisnął szczęki. Odetchnęłam i spuszczając wzrok, zadałam ostateczny cios.

– Zamierzam wyjechać, bo nie mogę mieszkać tak blisko ciebie.

Ani z dala od ciebie, pomyślałam. Łzy płynęły mi ciurkiem. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Kupiłam bilet na samolot. Za kilka dni wyjeżdżam z Mulranny i wracam do Paryża. Muszę dość do siebie i muszę zrobić to sama, bez ciebie.

Spróbowałam złapać go za rękę, ale odsunął się.

– Przepraszam – wyszeptałam.

Zamknął oczy, zacisnął dłonie w pięści i wziął głęboki oddech. Potem, nie patrząc na mnie, podniósł się i skierował do wyjścia.

– Poczekaj – błagałam, biegnąc za nim.

Otworzył drzwi i poszedł do samochodu, wsiadł i natychmiast odjechał. W tym momencie zrozumiałam, że nigdy więcej go już nie zobaczę. To bolało, bardzo bo-

łało.

Najłatwiejszą częścią zadania był telefon do Feliksa.

– To znowu ty! – powiedział.

– Tak... jesteś gotowy znowu mnie znosić?

– Co?

– Wracam.

– Co takiego?

– Wracam do Paryża.

– Hura! Zorganizuję megaprzyjęcie. I zamieszkasz u mnie...

– Spokojnie. Przede wszystkim żadnych przyjęć. A zamieszkam w kawalerce przy Les Gens.

– Zwariowałaś? To rudera.

– Nieprawda. Poza tym dzięki temu będę otwierać na czas.

– Zamierzasz pracować? Chyba żartujesz.

– A jednak to prawda. Spotkamy się w Les Gens.

– Zaraz, zaraz. Przyjadę po ciebie na lotnisko.

– Nie musisz, poradzę sobie sama. Teraz już potrafię.

Trzy godziny później, z sercem na ramieniu, udałam się do Abby i Jacka. Ku mojemu zdumieniu, drzwi otworzyła Judith.

– Co tu robisz? – zapytałam.

Rzuciła mi się na szyję.

– Gdzie jest mój brat? Spotkałam wczoraj zdzirę w pubie, podrywała wszystko, co się ruszało. Wskoczyłam w samochód i przyjechałam, żeby wam pogratulować.

– Dobrze, że jesteś, bo muszę z wami wszystkimi porozmawiać.

– Co się dzieje?

– Chodźmy do Abby i Jacka.

Gdy weszłyśmy, Abby wzięła mnie w ramiona. Judith musiała im opowiedzieć, że tworzymy z Edwardem idealną parę. Oczy zaszyły mi łzami, gdy napotkałam wzrok Jacka; on już wszystko zrozumiał. Bardzo szybko zdołałam popsuć atmosferę.

Usiedliśmy, a Abby i Judith kręciły się niecierpliwie na kanapie. Tylko Jack zachował spokój i przypatrywał się mi uważnie.

– Wyjeżdżasz, prawda? – spytał.

– Tak.

– Co? O czym ty mówisz? – krzyknęła Judith.

– Moje życie jest w Paryżu.

– A Edward? Myślałam, że go kochasz. Nie jesteś więcej warta niż Megan, wykorzystałaś go i zostawiłaś!

– Judith, wystarczy – upomniała ją Abby.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytał Jack.

– Pojutrze.

– Tak szybko! – zmartwiła się Abby.

– Tak będzie lepiej. Jest jeszcze coś... kiedy powiedziałam Edwardowi o mojej decyzji, wyjechał w pośpiechu i nie wrócił do domu od trzech dni. Nie wiem, gdzie jest... przykro mi.

– To nie twoja wina – pocieszył mnie Jack.

Judith wstała z kanapy i chwyciła telefon.

– Poczta głosowa! – krzyknęła. – Znowu wybrał się w jakąś dzicz. Już raz to przeżyliśmy, ale żeby po raz drugi! Niech to szlag!

Czerwona ze złości, bawiła się telefonem i zachowywała się, jakbym przestała istnieć.

– Powinam już iść – oznajmiłam.

Skierowałam się do wyjścia i wszyscy troje poszli za mną. Widziałam kątem oka, że Jack bierze żonę pod rękę. Z ich twarzy bił smutek i niepokój. Na progu Abby wzięła mnie w ramiona.

– Odezwij się do nas.

– Dziękuję za wszystko – odrzekłam, starając się powstrzymać łzy.

Uściskałam ją, pocałowałam Jacka w policzek i zwróciłam się do Judith.

– Odprowadzę cię do samochodu – powiedziała, nie patrząc na mnie.

Otworzyłam drzwiczki i wrzuciłam do środka torebkę. Judith cały czas milczała.

– Czy straciłam przyjaciółkę? – zapytałam.

– Postanowiłaś zachować się jak idiotka! Mam już dosyć zamartwiania się o brata...

– Zaopiekujesz się nim?

– Możesz mi wierzyć, że doprowadzę go do pionu.

– Nie wiem, co powiedzieć. Chciałabym, żeby to się...

– Wiem – przerwała mi, patrząc prosto w moje oczy. – Mogę kiedyś przyjechać odwiedzić cię w Paryżu?

– Kiedy tylko zechcesz.

Zaczęłam płakać i zobaczyłam, że oczy Judith także wypełniają się łzami.

– Jedź już.

Uściskałam ją i wsiadłam do samochodu. Odjechałam, nie oglądając się za siebie. Zrobiłam wielkie wiosenne porządki, żeby zatrzeć wszystkie ślady mojego pobytu. Potem wrzuciłam walizki do samochodu, zamknęłam bagażnik i spojrzałam z żalem na sąsiedni domek, pozbawiony wszelkich oznak życia. Moje ostatnie irlandzkie godziny upływały w absolutnej samotności.

Noc spędziłam siedząc na kanapie, czekając nie wiadomo na co. Wraz z pierwszymi promieniami słońca zakończyłam te tortury, wypiliśmy kawę, wypaliłam papierosa i jeszcze raz obeszałam wszystkie kąty.

Na dworze było szaro i ponuro, padał deszcz i smagały mnie podmuchy silnego wiatru. Irlandzki klimat towarzyszył mi do końca, będę za nim tęsknić.

Zamknęłam drzwi i oparłam o nie na chwilę czoło. Nadeszła pora odjazdu. Od-

wróciłam się w stronę samochodu... i zachwiałam się. Edward. Podbiegłam do niego i z płaczem rzuciłam mu się w ramiona. Przytulił mnie, zaczął głaskać po włosach.

Napawałam się jego zapachem. Przyłożył usta do mojej skroni i mocno przycisnął. To dodało mi odwagi, żeby na niego spojrzeć. Położył dłoń na moim policzku, a ja próbowałam się do niego uśmiechnąć, ale nie byłam w stanie. Rozluźniłam uścisk. Po raz ostatni spojrział mi w oczy, odwrócił się i poszedł w kierunku plaży. Wsiadłam do samochodu i odjechałam. Moje kłykcie aż zbieleły, tak mocno zaciskałam je na kierownicy. Rzuciłam spojrzenie we wsteczne lustro – cały czas tam stał, na deszczu, wpatrzony w morze. Moje oczy wypełniły się łzami. Otarłam je wierzchem dłoni i przyspieszyłam.

Rozdział 10

Wysiadłam z taksówki przed Les Gens, a kierowca wystawił moje walizki na chodnik. Kawiarnia była zamknięta. Podeszłam do drzwi i przycisnęłam czoło do szyby, usiłując dojrzeć coś w pograżonym w półmroku i zakurzonej wnętrzu. Usiadłam na walizce, zapaliłam papierosa i rozejrzałam się dookoła.

Wróciłam do punktu wyjścia. Nic się nie zmieniło: spieszący się przechodnie, koszarne korki, ruch w pobliskich sklepikach. Zdażyłam zapomnieć, jacy wiecznie niezadowoleni byli paryżanie. Irlandzka życzliwość wobec ludzi powinna stać się przedmiotem obowiązkowych zajęć w szkołach. Ale chociaż teraz tak myślałam, doskonale wiedziałam, że za dwa dni również moja twarz przybierze bezbarwny i mało uprzejmy wyraz.

Czekałam od godziny, gdy zobaczyłam w oddali nadchodzącego Feliksa. Bardzo się zmienił. Szedł blisko budynków, w głęboko naciągniętej czapce, ukryty za postawionym kołnierzem. Kiedy się zbliżył, zobaczyłam na jego twarzy ogromny opatrunek.

– Nie chcę nic słyszeć – oznajmił.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Teraz rozumiem, dlaczego kawiarnia jest jeszcze zamknięta.

– Jedyne twój przyjazd mógł mnie wyciągnąć dziś z domu. Ja nie mogę, naprawdę tu jesteś! – Uszczypnął mnie w policzek. – Zabawne, zupełnie, jakbyś nigdy nie wyjeżdżała!

– Ja też dziwnie się czuję.

Nagle poczułam skumulowane od wielu dni zmęczenie. Wsunęłam się w jego ramiona i zaczęłam płakać.

– Nie musisz się nade mną uzalać. To tylko złamany nos.

– Kretyn.

Zaczął się kołysać, tuląc mnie mocno do siebie. Zaśmiałam się przez łzy.

– Nie mogę oddychać.

– Naprawdę chcesz zamieszkać przy kawiarni?

– Tak, to idealne miejsce.

– Jeśli chcesz bawić się w biedną studentkę, twoja sprawa.

Pomógł mi wnieść część walizek, łokciem otwierając drzwi do budynku.

– Cholera, jak to boli.

Roześmiałam się.

– Zamknij się!

Przed drzwiami do mieszkania podał mi klucze. Otworzyłam i ze zdziwieniem zauważyłam stos kartonów.

– Co to?

– To, co zdołałem uratować z twojego mieszkania. Twoi starzy to prawdziwe pi-ranie. Przyniosłem wszystko tutaj, żeby czekało na twój powrót.

– Dziękuję.

Nie mogłam przestać ziewać, ale Feliks cały czas nawijał. Zamówił pizzę, którą jedliśmy siedząc przy niskim stoliku przy kasie. Opowiedział mi szczegółowo, jak dorobił się złamanego nosa; żałosna historia pod koniec alkoholowego wieczora.

– Słuchaj – przerwałam mu – mamy dużo czasu, żeby się nagadać, a ja ledwo ży-ję i jutro musimy być w formie.

– Dlaczego?

– A mówi ci coś nazwa Les Gens?

– Nie żartujesz, zamierzasz wrócić do pracy?

Odpowiedziałam mu spojrzeniem.

– Okej, rozumiem.

Feliks wstał i odprowadziłam go do drzwi.

– Umawiamy się na jutro rano, żeby ocenić sytuację – oznajmiłam.

Zaczął grzebać w kieszeniach i podał mi pęk kluczy.

– Jeślibym się nie obudził – rzekł, całując mnie w policzek.

– Dobranoc.

Spojrzał podejrzliwie.

– Co?

– Nic, porozmawiamy jutro.

Dziesięć minut później byłam już w łóżku, ale nie mogłam zasnąć. Zdażyłam już zapomnieć, jak wygląda noc w mieście: odgłosy klaksonów, syren, przechodniów, jasno oświetlone ulice. Mulranny było bardzo daleko stąd. Podobnie jak Edward.

Przeszłam przez korytarz budynku, żeby dojść do kawiarni. Drzwi zaskrzypiały, weszłam i nacisnęłam włącznik światła. Kilka żarówek było przepalonych. Ka-wiarnia nie wyglądała dobrze. Powietrze pachniało stęchlizną. Sięgnęłam do naj-głębszych zakątków pamięci, aby przywołać obrazy tego miejsca z przeszłości. Niewiele z tego zostało. Przeszłam się wzdłuż półek, kilka było pustych. Przejecha-łam dłonią po książkach. Złapałam jedną na oślep, miała pozaginane rogi i pożółkłe stronice, druga i trzecia nie były w lepszym stanie.

Poszłam za ladę. Przejechałam ręką po barze: lepił się od brudu. Rzuciłam okiem

na zastawę: wiele filiżanek było powyszczerbianych. Na pompie ciśnieniowej wisiała kartka ostrzegająca, że urządzenie jest zepsute. Zeszyty zamówień i książki rachunkowe wały się po podłodze za barem. Jedyne zdjęcie pozostało na swoim miejscu. Ekspres do kawy długo odmawiał mi posłuszeństwa, zanim w końcu zaczął wypływać ciecz jako tako przypominającą kolorem kawę. Oparłam się o mur i skrzywiłam się, smakując napój. Morał był taki, że nigdy nie należy powierzać niczego Feliksowi. Żeby wyjść z marazmu, poczuć się lepiej, muszę wskrzesić Les Gens.

Robiłam właśnie trzecią z kolei turę wycierania, gdy raczył się pojawić mój wspólnik.

– Zamieniasz się w sprzątaczkę?

– Tak. I ty też.

Rzuciłam w niego parą gumowych rękawiczek.

Po wielu godzinach sprzątania usiedliśmy na podłodze. Na chodniku pod kawiarnią stały dziesiątki toreb ze śmieciami. W przeciwieństwie do nas, kawiarnia pachniała czystością.

– Feliks, od dzisiaj przestajesz się bawić w bibliotekarza.

– Mam się więc bawić w sprzedawcę?

Pokiwałam głową.

– I poinformujesz wszystkich swoich kołesiów, że będą musieli zapłacić za każdą szklanekę wody. Zrozumiano?

– Napędzasz mi strachu, gdy stajesz się taka.

Ukrył twarz w ramionach. Poklepałam go i podniosłam się.

– A teraz idź się zabawić.

– Co robimy jutro?

– Składamy zamówienia.

– Będziesz mnie potrzebować?

– Dorośnij trochę. Nie bój się, nie musisz zrywać się skoro świt.

Siedzieliśmy z Feliksem po dwóch stronach baru. Ja usiłowałam rozgryźć rachunki, a Feliks szykował zamówienia. Dawno już zdążył zapaść zmierzch.

– Wystarczy! Mam tego dość – oznajmił nagle Feliks.

Wstał, przyniósł nam po kieliszku wina, poskładał wszystkie księgi i usiadł na barze.

– Pani dowódca nie krzyczy?

– Nie, miałam właśnie zaproponować, żebyśmy skończyli na dzisiaj.

Feliks zaśmiał się i stuknęliśmy się kieliszkami, po czym sięgnął pod bar po paczkę papierosów. Spojrzałam na niego z dezaprobatą.

– Proszę, kawiarnia jest zamknięta, należy mi się papieros. Ty też długo nie wytrzymasz.

Przesunął mi papierosa pod nosem.

– W porządku, ale zapłać za paczkę.

Zapaliłam swojego papierosa, napiłam się wina i spojrzałam na Feliksa.

– Co, zmieniłam się?

– Nawet za życia Klary i Colina nie widziałem cię tak zdeterminowanej, a co najśmieszniejsze, ze wszystkim świetnie sobie radzisz sama.

– Myślę, że droga do rekonstrukcji mojego życia biegnie przez Les Gens. Mamy szczęście, że jesteśmy właścicielami tej kawiarni.

– Nie zamierzasz chyba zostać tytanem pracy? Bo jeśli to jest twoim celem, to ja składam dymisję.

– Nie byłoby dużej straty.

– Ale poważnie, jak się czujesz?

– Dobrze.

– Tak... Pójdiesz się dzisiaj ze mną zabawić?

– Nie mam ochoty.

– Chyba nie zamierzasz zamknąć się na całe życie w tej kawiarni?

– Obiecuję, że kiedyś jeszcze pójdę z tobą się zabawić.

– Musisz wyjść między ludzi, poza tym może nadszedł czas... żebyś poznała jakiegoś fajnego faceta.

Wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała wyznać prawdę.

– Chyba spotkałam go zbyt wcześnie.

Feliks westchnął głęboko.

– Colin nie żyje już od dwóch lat.

– Wiem.

– Jesteś beznadziejna, zobaczysz, że skończysz jako stara panna ze stadem kotów.

Zeskoczył z baru.

– Muszę się wysikać.

– Świetnie – odrzekłam, zapalając następnego papierosa.

Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

– Spotkałaś kogoś? – krzyknął, wychodząc z toalety.

– Rozporek...

– Odpowiedz! Kto to? Znam go?

– Tak.

– Edward! Przygruchałaś sobie Irlandczyka. Wiedziałem. A więc? Chcę poznać wszystkie pikantne szczegóły!

– Nie ma o czym mówić. Powiem ci tylko, że bardzo dobrze się przy nim czułam, wyrzuciłam mu ogromną krzywdę i z pewnością straciłam go na zawsze. To tyle.

– Nie mogłabyś skrzywdzić nawet muchy, o co dopiero takiego faceta, jak on. To niemożliwe.

Wziął mnie w ramiona i jak zwykle zamknął w mocnym uścisku.

– Powiedz, co się stało.

– Proszę, wołałabym o nim nie mówić.

– Dlaczego?

– Bo tęsknię za nim.

Wtuliłam się w jego ramiona. – To szczęście, że go ze sobą nie przywiozłaś. Mieilibyśmy problem, bo cały czas miałbym ochotę na twojego faceta.

Rozpłakałam się. Ze śmiechu i ze smutku. Feliks kołysał się ze mną w ramionach tak długo, aż zdołałam się uspokoić.

Kawiarnia była gotowa. Ja trochę mniej. Niewiele spałam, czułam się jednocześnie niespokojna i podekscytowana. Po raz kolejny zajrzałam we wszystkie kąty. Wszystko dopięte na ostatni guzik: nowe naczynia były poukładane perfekcyjnie, pompa ciśnieniowa działała idealnie, ekspres produkował kawę godną swojej nazwy, lada lśniła czystością, a nowiutkie książki czekały na półkach na czytelników. Postanowiliśmy również odświeżyć katalog oferowanych pozycji. Zostawiłam Feliksowi wolną rękę, bo od dawna nie śledziłam tego, co dzieje się w świecie literackim.

– Musimy zacząć oferować bardziej rockandrollowe pozycje – stwierdził. – Mamy tego typu klientelę.

Nie miałam co do tego wątpliwości, tym bardziej że to właśnie jemu zawdzięczamy tego typu klientów. Zamówił więc, między innymi, Chucka Palahniuka, Irvine'a Welsha i ostatnią powieść francuskiego pisarza, którego nie znałam, Laurenta Bettoniego. Książka nosiła tytuł *Les Corps terrestres*.

– Zobaczysz, to jakby markiz de Sade napisał *Niebezpieczne związki*, ale w bardzo nowoczesnym stylu – wyjaśnił Feliks. – Zapewni nam aurę lekkiego skandaliku.

Uśmiechnęłam się. Po dwóch latach letargu pragnęłam rozwiązłości i skandalu.

Przekręciłam tabliczkę w witrynie. Otworzyłam drzwi, żeby usłyszeć dźwięk dzwonka, zupełnie jak dawniej, gdy sprawiało to Klarze taką przyjemność. Pod zamkniętymi powiekami zobaczyłam jej uśmiech. Nadszedł pierwszy klient. Rozpoczął się nowy dzień.

Koło południa pojawił się Feliks w ogromnym bukietem róż i frezji, podobnym do tego, który wiele lat temu ofiarował mi Colin. Niezgrabnie wręczył mi kwiaty i poszedł powiesić kurtkę na wieszaku. Znalazłam wazon i podeszłam do Feliksa, wspierałam się na palce i pocałowałam go w policzek.

– Byłby z ciebie dumny – wyszeptał mi Feliks na ucho.

Wróciłam piętnaście dni temu, a wciąż żyłam wśród kartonów i walizek. Spędziłam więc niedzielę, porządkując mieszkanie. Nie było duże, ale to mi odpowiadało, czułam się tu bezpiecznie i u siebie. Powiesiłam na ścianie kilka zdjęć Colina i Klary, żeby byli razem ze mną. W szafie poukładałam moje, i tylko moje ubrania. Na półce postawiłam książki, które towarzyszyły mi w Irlandii. Z przyjemnością zainstalowałam wspaniały ekspres do kawy, który dostałam od Colina. Byłam niezwykle wdzięczna Feliksowi, że go dla mnie ocalił.

Została mi do opróżnienia tylko jedna torba. Znalazłam w niej zdjęcia Edwarda. Nie mogłam się powstrzymać i rozsiadłam się na podłodze, żeby je obejrzeć. Gdy

patrzyłam na nasze postacie na lśniącym papierze, po raz kolejny dopadły mnie wspomnienia i wątpliwości. Stale o nim myślałam. Niepokoiłam się o niego. Chciałam wiedzieć, jak by zareagował, gdyby się dowiedział, że zaczęłam pracować. Chciałam wiedzieć, czy myśli o mnie. Włożyłam zdjęcia do specjalnego pudełka na samym dnie szafy. Westchnęłam, nastawiłam muzykę i poszłam do łazienki. Stojąc pod strumieniem wody, rozmyślałam nad tym, że jutro wstanę, żeby stawić czoło kolejnemu tygodniowi pracy. Uda mi się obudzić o siódmej trzydzieści, zwlec z łóżka, ubrać się i pójść otworzyć kawiarnię. Znajdę w sobie siłę, żeby się uśmiechać i rozmawiać z klientami. Musi mi się udać, nie miałam innego wyjścia.

Przez zasłony sypialni prześwitywały promienie słońca – dobry prognostyk na dzisiejszy dzień. Od mojego powrotu minął miesiąc i nie zamierzałam się poddawać. Nie spieszyłam się. Otworzyłam okno i usiadłam, żeby spokojnie napić się kawy i wypalić pierwszego papierosa.

Jak każdego ranka, weszłam do kawiarni tylnym wejściem, ale dziś włożyłam w drzwi tabliczkę, żeby uprzedzić o późniejszym otwarciu. Potem funkcjonowałam jak na automatycznym pilocie.

Z kwaciarni przy cmentarzu wyszłam z nęczeniem białych róż. Rozgorączkowana, szłam wzdłuż alejek. Tym razem znałam drogę.

Przed ich grobem wzięłam głęboki oddech. Nagrobek był bardzo dobrze utrzymany. Zmiotłam kilka opadłych na marmur płatków i włożyłam kwiaty do wazonu. Przykucnęłam i przejechałam palcami po ich imionach.

– Hej! Kochani... wróciłam... tęsknię za wami. Było mi dobrze w Irlandii, ale byłoby jeszcze lepiej, gdybyście byli tam ze mną. Klaro, gdybyś wiedziała... tarzałam się po piasku z psem tak ogromnym, jakiego nigdy nie widziałaś, mogłabyś jeździć na jego grzbiecie i go głaskać... Żałuję, że nigdy takiego nie miałaś... Mamusia cię kocha...

Otarłam spływającą po policzku łzę.

– Colin... kochanie... tak bardzo cię kocham. Kiedy będę gotowa, żeby pozwolić ci odejść? Byłam już tak blisko, ale jednak... Myślę, że polubiłbyś Edwarda... Co ja mówię? On przecież mnie ma się podobać, prawda?

Rozejrzałam się dookoła, nic nie widząc. Otarłam łzy i przyłożyłam głowę do płyty.

– Tak bardzo was kocham... Ale muszę już iść. Feliks na mnie czeka.

Stałam przed moją kawiarnią literacką. Naturalnie, Feliks jeszcze nie przyszedł. Za to nade mną rozciągało się cudownie błękitne niebo. Uśmiechnęłam się i zamknęłam oczy. Przynajmniej potrafiłam się cieszyć z drobnych rzeczy. A to już coś, znak, że rozpoczął się proces leczenia. Dotknęłam obrączki.

Któregoś dnia przestanę ją nosić. Być może zrobię to dla Edwarda. Usłyszałam dźwięk telefonu. Nadszedł czas, aby zacząć pracę. Zanim weszłam do środka, rzucałam okiem na szyld.

Szczęśliwi ludzie...